

Wydawnictwo
Książka-Ruch
Lublin

2552/1977/10

W NUMERZE:

- **Matematykę można lubić**
- **Rzecz o diabelstwie poskromionym**
- **Wokół „Przebudzenia”**

Maria Wilińska

str. 6

Maria Bechczyz-Rudnicka

str. 10

str. 12-13

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 15 V 1977 Nr 10 (626)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

30-lecie RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” POTENTAT

Mija właśnie 30 lat od powstania Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „PRASA”, istniejącej dzisiaj pod nieco zmienioną nazwą — RSW Prasa-Książka-Ruch, największej instytucji wydawniczo-kolportażowej w krajach socjalistycznych, a jednej z największych na świecie. Z tej też okazji zwróciliśmy się z prośbą o rozmowę do wiceprezesa Zarządu RSW Prasa-Książka-Ruch — BRONISŁAWA STĘPNIA. Oto relacja z tej rozmowy.

— Jak wiele innych instytucji i przedsiębiorstw, RSW PRASA powstała z niczego — drukarnie zdewas-



rowane, kadry dziennikarskie zdeklasowane, całkowity brak kolportażu...

— Tak, a równocześnie wiadomo było, że w hierarchii ważności niezmiernie pilnych spraw do załatwienia informacja — a więc gazeta, czasopismo — była artykułem pierwszej potrzeby. Brak prasy oznaczałby opóźnienie rozwoju świadomości społecznej, wiedzy i kultury socjalistycznej, integracji społeczeństwa wokół programu sprawiedliwości społecznej i odbudowy gospodarczej państwa. To prosta prawda, że nadludzkim uporem, pomysłowością i wielkim zaangażowaniem coraz liczniejszej rzeszy pracowników budowaliśmy wszystko od podstaw.

— Ramy jednego artykułu nie pozwalają ani na dokładniejsze przedstawienie owych początków, ani etapów późniejszego rozwoju. Może więc krótko o pierwszych dniach i dniu dzisiejszym?

— Zaczęło się bardzo skromnie właśnie u Was, w Lublinie, od 12 tytułów o jednorazowym nakładzie 1 349 tysięcy egzemplarzy. Obecnie wydajemy 242 tytuły gazet i czasopism, ich jednorazowy nakład wynosi blisko 25 mln egzemplarzy. A ponieważ nasz kolportaż rozprawdza także wiele innych ty-

Dokończenie na str. 3

W te piękne „Dni” majowe...

Mirosław Derecki

W „Gazecie Lubelskiej” z 30 kwietnia 1946 r. pojawił się apel do czytelników wzywający do uczestniczenia w ogólnopolskiej zbiórce książek dla bibliotek. Bądźcie ofiarni! — pisała popularna gazeta — Dni 1-3 maja są wyznaczone na „Święto Oświaty”. W tych dniach na terenie całej Polski odbędzie się zbiórka książek i pieniędzy na książki [...] Gdy młodzież zapuka do Waszych drzwi, przyjmijcie ją sercem, oddarcie dobrą książką. Niech młodzież nasza czerpie z książki nowe twórcze siły do spełniania zaszczytnej roli budowniczych ojczyzny. [...] Każda książka ofiarowana, każda złotówka oddana na książkę — to cegiełka do gmachu nowej oświaty i kultury. Podobne apele zamieściły inne dzienniki lubelskie i

cała prasa krajowa. Państwo przystąpiło do wielkiej batalii o podniesienie oświaty i kultury w społeczeństwie, potrzebna była wielka, efektywna akcja mobilizująca cały naród. Zaczęto przede wszystkim od odbudowywania zniszczonych przez wojnę księgozbiorów bibliotecznych. Hasło rzucone przez Komitet Obywatelski „Święta Oświaty” trafiło na podatny grunt. Zebrano wówczas 29 milionów złotych i 125 tys. książek.

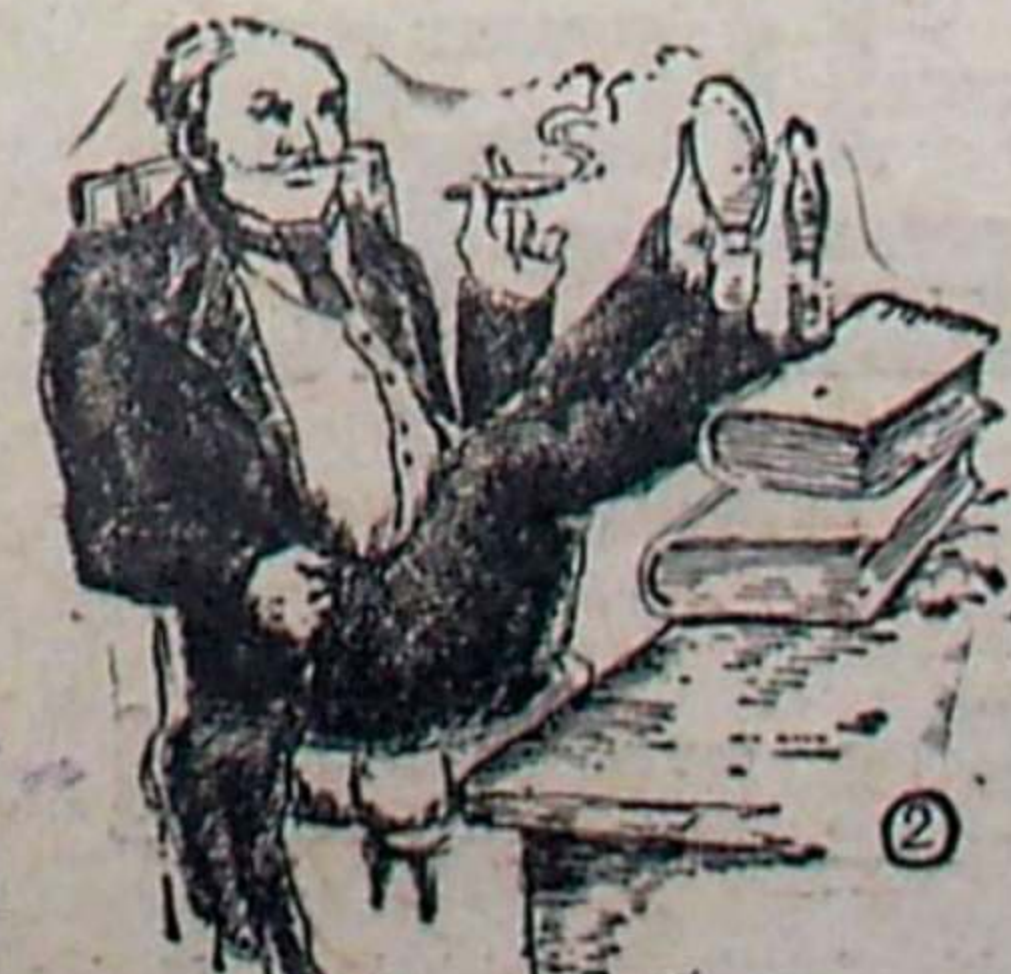
„Święto Oświaty” zorganizowane w 1946 r. dało początek stałej, ogólnopolskiej imprezie majowej zwanej „Dniami Oświaty, Książki i Prasy” — przed-

Dokończenie na str. 4-5

ZAWSZE Z KSIĄŻKAMI

1. Byłem mały, a już nie mogłem żyć bez książek.
2. Książki towarzyszyły mi stała, kiedy dorosłem.
3. Teraz jestem już stary, ale myślę, że moje książki dobrze będą służyć wnukowi...

Rys. Konrad Kozłowski



Po drugiej stronie Tatr

W holu Muzeum Tatrzańskiego Parku Narodowego w Tatrzańskiej Łomnicy otwarta została wystawa o trasach dydaktycznych w CSRS i w znanych rezerwach przyrody na świecie. W Czechosłowacji do roku 1976 utworzono 33 takie szlaki w ramach obszarów objętych ochroną i w parkach narodowych, dwanaście szlaków dydaktycznych znajduje się w trakcie zakładania, a 24 dalsze znajdują się w wstępnych planach.

Od roku 1960 mieszkańcy Brna będą się mogli chlubić światowym unikatem. W odnawianych pomieszczeniach dwóch historycznych domów przy ulicy Dominikańskiej pracownicy Wojewódzkiego Urzędu Cel instalują Muzeum Celnicstwa. Ulica Dominikańska zapisała się bowiem w dziejach handlu zagranicznego już w średniowieczu, kiedy to wynajmowano tu sklepy zagranicznym kupcom.

W okresie ostatnich 6 lat liczba miejsc w domach emerytów w CSRS wzrosła o 1700. Pod koniec 1976 r. w CSRS znajdowały się 303 domy emerytów liczące łącznie 36 800 miejsc. Nowocześnie i stale rozszerzającą się formą opieki nad obywatelami w podeszłym wieku są tzw. pensjonaty dla emerytów. Zapewniają one zakwaterowanie w dobrze wyposażonych jednostkach mieszkalnych dla osób indywidualnych i par małżeńskich; w obiektach tych świadczony jest także szeroki zakres usług. W roku 1970, gdy zapoczątkowano tę formę opieki nad starszymi ludźmi, istniały dwa pensjonaty liczące łącznie 230 łóżek. Pod koniec 1976 r. liczba pensjonatów wzrosła do dziewięciu a zamieszkuje je ponad 1500 emerytów. Sposób i organizacja życia w domach emerytów i w pensjonatach przyczyniła się do utrzymania sprawności fizycznej i psychicznej ich mieszkańców, stwarza pod dostatkami bodźców do aktywności i sprzyja celowej czynności pracowniczej. W letnich miesiącach organizowane są dla emerytów wycieczki do różnych okolic Czechosłowacji. Urozmaicone jest również w domach emerytów życie kulturalne, do czego przyczyniają się także członkowie Socjalistycznego Związku Młodzieży.

Już ósmy rok w obszarach konwencji turystycznej stosuje się do przewozu ładunków między województwem wschodniostowackim a Polską i Węgry zespoły drogowe (TIR). Objętość przewozów w tym transporcie systematycznie wzrasta. Podczas kiedy w roku 1975 kierowcy Czechosłowackiej Komunikacji Samochodowej (Czechoslovenská automobilová doprava - CSAD) dokonali 743 przewozów do przyległych obszarów nadgranicznych północnego i południowego sąsiada CSRS, w roku ubiegłym było ich już 811. Przeszło połowa przewozów obejmowała transport piwa z miejscowości Velký Saris i Koszyce do browaru Böz koło Miskolca na Węgrzech. Niemal codziennie zmierza tam jedna cysterna o pojemności 160 hektolitrow i jedna 150-hektolitrowa. Z kolei z Węgier przewozi się perlit z Palhazy do Zakładów Ceramicznych w Koszycach i kaolin z Füzeradvány do Zakładów Ceramicznych w Michalovcach. Ponadto tą drogą sprowadzono z Węgier około 100 tysięcy ton pospółki dla organizacji budowlanych we wschodniej Słowacji. Z Polski sprowadzono m. in. 31 ciężarówek truskawek dla zakładów przetwórczych w Prešovie. W roku bieżącym spodziewane jest dalsze rozszerzenie transportu samochodowego między wschodnią Słowacją a obszarami konwencji turystycznej w Polsce i na Węgrzech.

Intensywna działalność Czeskiego Urzędu Geologicznego w poszukiwaniu nowych złóż przynosi dobre wyniki. W końcowej fazie znajdują się badania poszukiwawcze ropy naftowej w okręgu Břeclav-Ostrava, gdzie wydobywa się już gaz ziemny w Dolnych Dunajovicach i Němčickach. Kończy się również badania nowych złóż paliw stałych w zagłębiu słaskim (woj. śląskowocześnie), w końcowym stadium są roboty wiertnicze dla nowego szybu wydobywczego kopalni węgla kolo Frenštatu pod Radhoštěm (woj. północnomorawskie). Trwają badania zasobów lignitu w okolicach Hodonína (woj. południowomorawskie), gdzie w 1960 r. przewiduje się otwarcie nowej kopalni tego surowca. Przygotowywane są materiały o możliwościach wydobycia węgla w zagłębiu chebskim (woj. zachodnioczeskie), kontynuowane są poszukiwania złóż węgla w rejonie Zatec-Krokonoše (Karkonosze, zach. Czechy). Na północnych Morawach bada się złoża miedzi, ołowiu, cynku, srebra, złota oraz rzadkich pierwiastków kobaltu i kadmu. W okolicach miasta Přibram (woj. środkowocześnie) poszukuje się nowych złóż miedzi, srebra, ołowiu i cynku. W Górach Kruszcowych (Krušné hory, północno-zachodnie Czechy) znajdują się wielkie złoża fluorytu, które w przyszłości pokryją całkowicie zapotrzebowanie krajowe na ten surowiec. Na Wyżynie Czesko-Morawskiej prowadzone są w dalszym ciągu poszukiwania geologiczne miedzi, ołowiu i cynku.

Pragopress

w którym żyjemy

Piekło izraelskich więźni

MIASTO Aszkelon, a w nim więzienie, w którym przebywa 400 więźniów politycznych — większość skazana na dożywocie. Przeważnie odbywają tutaj karę Palestyńczycy. Izraelczycy uważają ich za terrorystów, natomiast sami więźniowie mówią o sobie, że są bojownikami wolności, uczestniczącymi w sprawiedliwej wojnie. Izraelczycy — pisze „International Herald Tribune” — wykluczają możliwość przyznania tym więźniom statusu jeńców wojennych, bowiem pociągnęłoby to za sobą faktyczne uznanie palestyńskiego ruchu oporu, do którego ludzie ci należą.

Więźniowie z Aszkelonu niedawno zwrócili na siebie uwagę opinii publicznej organizując od trzech miesięcy nieustanne strajki głodowe. Był to protest przeciwko niehumanitarnym warunkom życia. Do niewielkich cel włożono po 20, a często i po 30 więźniów. Pomieszczenia są tak pełne, że kiedy więźniowie śpią, wykorzystywany jest praktycznie każdy centymetr powierzchni. Cele pozbawione są stolów, krzesel i łóżek. Więźniowie śpią na gumowych matach grubości niespełna centymetra. Jedzenie dostarczane jest w wiadrach po jednym na celę, z których więźniowie muszą jeść rękami. Władze izraelskie twierdzą, że brak łóżek w celach podyktowany jest względami bezpieczeństwa, tzn. aby więźniowie nie używali sprzętów jako broni. W istocie mebli w celach nie ma, bo po prostu nie można ich tam włożyć razem z więźniami.

Strażnicy więzienni przyznają, że większość więźniów palestyńskich reprezentuje wyższy poziom wykształcenia niż przeciętni pospółci przestępcy. Jeden z więźniów, który kierował grupą partyzancką w Górach Hebron, zabił własnego brata za to, że lekkomyślnie naruszył środki bezpieczeństwa i doprowadził do wykrycia grupy. Inny więzień, otoczony i zraniony przez policjantów izraelskich, spokojnie amputował swą zranioną nogę przy pomocy siekiery i dalej ostrzeliwał Izraelczyków, dopóki go nie unieszkodliwiono.

W stan furii...

BRYTYJSKI pisarz, David Irving, wydał książkę pt. „Hitler's War”. Stara się w niej przeprowadzić tezę, że Hitler był „zwykłym człowiekiem, który chodził i mówił, ważył około 155 funtów, miał siwiejące włosy, niemal wyłącznie fałszywe zęby i cierpiał na chroniczne migreny”. Zdaniem Irvinga wojna powietrzna osiągnęła swe apogeum w przednuklearnym barbarzyństwie, kiedy ponad 40 tysięcy cywilów zo-

stało zatrutych, poparzonych lub rozerwanych w kawałki podczas bombardowań Hamburga. Irving milczy jednak na temat bestialskich zbrodni hitlerowskich, masowego gazowania ludzi, mordowania jeńców wojennych, nie wspomina o losie Warszawy i wielu innych miast, zrównanych z ziemią przez hitlerowców. Snuje natomiast opowieść, która wprowadza w stan furii wielu historyków, stawia bowiem pytanie, czy Hitler... cokolwiek wiedział o masowych eksterminacjach!

Trudno wprost uwierzyć, by w 32 lata po kapitulacji III Rzeszy taka bzdura mogła się znaleźć na rynku księgarskim. I w dodatku napisana przez historyka (!) brytyjskiego!

Bezrobocie kadr francuskich

STUDENCI kilku renomowanych wyższych uczelni technicznych we Francji wydają wspólnie pismo „La Marmine” (Garnek). W jednym z ostatnich numerów pismo to opublikowało cztery artykuły na temat bezrobocia wśród kadr. Autor jednego z nich, młody inżynier, absolwent wydziału sztuk i rzemiosł, bezrobotny od pół roku, przedstawia swoją historię. Po znalezieniu kilku ofert o zatrudnieniu wysłał 53 listy; 22 pozostały bez odpowiedzi, tyle samo otrzymał odpowiedzi odmownych, a jedynie 9 listów sprawiło, iż kandydat do pracy mógł oświadczyć porozumiewać z szefem personelu. Rozmowy te pozwoliły mu wyciągnąć jeden wniosek: nie należy mieć żadnych złudzeń, bezrobocie wśród kadr jest faktem.

I rzeczywiście — twierdzi tygodnik „Le Point” — pod koniec ub. r. liczba bezrobotnych specjalistów, zarejestrowanych w Krajowej Agencji ds. Zatrudnienia (ANPE) była również rekordowa: 93 613, z czego 51 170 to kadry sensu stricto, a 42 443 — to majstrów i technicy. W ciągu roku bezrobocie wśród kadr zwiększyło się o 9,6 proc., podczas gdy łącznie bezrobocie wzrosło o 2 proc.

Oczywiście tu, jak i gdzie indziej, mamy do czynienia z różnymi rodzajami bezrobocia. Młodego absolwenta, który mieszka jeszcze z rodzicami, nie można porównać z 45-letnim specjalistą usuniętym z pracy. Jednak w tym zjawisku bezrobocia zawarty jest ukryty aspekt, na który nie zwracano dotąd uwagi. Chodzi o powtarzające się falowo depresje nerwowe, o samotność, o słabnącą z upływem czasu nadzieję oraz o coraz większy ciężar, który nie pozwala unieść się z upadku. A upadek ten jest tym dotkliwszy, że nastąpił z bardzo wysoka. Specjaliści francuscy uważali się do tej pory za wybrańców losu, za śmietankę, któ-

rej nikt nie ruszy. Dziś są w samym środku ogromnej anonimowej armii bezrobotnych. Nastąpiła więc swego rodzaju demokracja bezrobocia ku górze.

Fala narkomanii w RFN

PRASA zachodniemiecka określa opublikowane ostatnio dane oficjalne na temat narkomanii w RFN jako porażające. Liczba narkomanów, z alkoholikami łącznie, wzrosła w ub. r. o 40 proc. i wynosi 2,4 mln. Szczególnie daje się zauważyć nastawienie na „twarde” narkotyki, głównie heroinę. Liczba zmarłych na skutek nadużywania tego narkotyku wynosiła w 1975 r. 137, a w 1976 r. już 325 ludzi. W ub. r. tylko w Berlinie Zachodnim narkomania pochłonęła 54 śmiertelne ofiary.

W 1975 r. skonfiskowano 30,9 kg heroiny, a w 1976 r. — przeszło 169 kg, do czego należy jeszcze doliczyć 5313 kg haszyszu i marihuany. Jeden gram heroiny na rynku osiąga cenę 250—500 marek. Olbrzymi przemysł odbywa się na granicy holenderskiej. W Bremie przed sądem krajowym rozpoczął się niedawno największy proces przemytników, jaki kiedykolwiek notowały kroniki sądowe w RFN. We wrześniu 1976 r. dwóch Malajczyków przeszło drogą morską 66,7 kg heroiny!

Za handel narkotykami grożą drażące kary, ale uważa się mimo to, że kara (górną granicą) 10 lat więzienia jest zbyt niska.

Terapia odwykowa kosztuje 18 tysięcy marek, jednakże jest skuteczna jedynie w 20 proc. Już w 1971 r. statystyki wykazywały w RFN około 60 tys. młodych rencistów, za 20 lat ich liczba według szacunków wzrośnie do 250 tysięcy.

Obok narkomanii drugim poważnym problemem społecznym jest pijaństwo. Prasa alarmuje, że np. w hamburskim przemyśle metalowym 12 proc. pracowników wypija w domu albo w miejscu pracy tyle alkoholu, że wpływa to w widoczny sposób na wydajność pracy. Przeprowadzone badania wykazały, że na skutek szerzącego się alkoholizmu przemysł w Hamburgu ponosi straty w wysokości 15 milionów godzin rocznie, co w przeliczeniu na pieniądze przekracza 100 milionów marek. Z ankiety przeprowadzonej w 84 zakładach, zatrudniających 47 tysięcy robotników, wynika, że tylko 28 proc. wszystkich zatrudnionych nie używa alkoholu.

Okolice sztuki

Ku pamięci

W latach trzydziestych Marian Jaeschke należał do grupy „Pryzmat”, malując martwe natury i akty o znac-

nych wartościach kolorystycznych. Kolor jako podstawowy środek wyrazu, określenia autorskiego stosunku do natury, albo jako cel sam w sobie decydował o charakterze twórczości członków tego różnorodnego ugrupowania. Przede wszystkim „Komitet Paryski”, ale także „Pryzmat” upowszechnił wśród polskiej publiczności przekonanie, że swoistość malarstwa wynika z języka, jakim się ono posługuje, że fundamentem malarstwa jest forma.

Na nieszczęście kolorysty tak mocno zdominowali krajowe życie artystyczne, że po wojnie malarstwo polskie zaczęło przypominać coś w rodzaju pejzażu a la Cybis, a la Eibisch, a la Pronaszko. Jako profesorowie i rektorzy wyższych szkół plastycznych i obu akademii, pełniący nieraz wysokie funkcje w ZPAP, wypuszczali co roku w świat dziesiątki „małych kolorystów” z których — co naturalne — tylko nieliczni doszli do jakiejś indywidualności. Taka sytuacja musiała doprowadzić do gwałtownej reakcji. I tak się stało w dru-

giej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy to ogólniejsze okoliczności natury społeczno-politycznej umożliwiły nawiązanie zerwanego wcześniej kontaktu z koncepcjami awangardy międzywojennej i z współczesną sztuką światową. Koloryzm, czy szerzej — postimpresjonizm stał się synonimem konserwatywnego malarstwa, sprawą anachroniczną w „szybko zmieniającym się świecie cywilizacji naukowo-technicznej”. Ostentacyjnie wyłano dziecko z kąpielą, zapominając zarówno o zasługach „kapistów” i członków pokrewnych ugrupowań w dziele publicznej edukacji estetycznej, jak i o głoszonej przez nich prawdzie, że fundamentem malarstwa jest forma, prawdzie w gruncie rzeczy uniwersalnej, aktualnej w każdej epoce i nie mającej nic wspólnego z formalizmem.

Dopiero na początku lat siedemdziesiątych przyszło opamiętanie. Na wystawach młodej sztuki zaczęły się pojawiać obrazy znakomite pod względem warsztatowym, których sens, znaczenia wynikały z formy malarskiej, były

POTENTAT

Dokończenie ze str. 1

tułów pism krajowych i zagranicznych, jednorazowo sprzedajemy 38,6 mln egzemplarzy, w ciągu roku zaś 3,6 mld egzemplarzy. Tu warto podkreślić, że 70 proc. prasy sprzedajemy w kioskach, co świadczy o autentycznym, codziennym zapotrzebowaniu społeczeństwa. W innych krajach jeżeli zwroty wynoszą 15 proc., to wydawcy zwiększają nakład. U nas w roku 1974 zwroty wynosiły 3,5 proc., w chwili obecnej zaledwie 1,5 proc. I to często wskutek choroby kioskarkarza, remanentu czy awarii w transporcie. Dzienników brakuje już w południe, czasopism po 1-2 dniach od chwili wydania.

— No i tak doszliśmy do sprawy papieru, na którego brak wszyscy narzekają.

— Zużywamy rocznie 160 tys. ton papieru, w tym część z importu. Ponieważ w najbliższym czasie nie może on być zwiększony, do roku 1980 nie należy spodziewać się, niestety, istotniejszego zwiększenia nakładów czy objętości. Budowana jest obecnie w Polsce jedna fabryka papieru, a budowa drugiej jest planowana w przyszłości. Da to pewne efekty pod koniec bieżącej pięcioletki. Oceniamy, że jednorazowy nakład naszej prasy mógłby być o 3,5 mln egzemplarzy większy. Narzekają redakcje dzienników i czasopism, może tylko niektóre, jak np. „Trybuna Ludu”, „Perspektywy”, „Razem” czy „Panorama” mają znaczącą objętość. Wiemy, że regionalne czasopisma społeczno-kulturalne są także szczupłe, a ich nakłady ograniczane. Narzekają więc środowiska twórcze, literaci młodszy i starsi, aktorzy, muzycy, plastycy, wydawcy książek czy płyt. A przecież te czasopisma chciałyby jeszcze i powinny zamieszczać publicystykę ideologiczną czy ekonomiczną. Ale dopiero za kilka lat będzie lepiej.

— Sądzę, że wydawanie gazet codziennych w objętości około 30 stron, jak to się dzieje w niektórych państwach zachodnich, jest wizualnie nieczyste, ale przecież żaden z czytelników takiej mnogości tekstów w całości nie przeczyta, jest to więc w jakimś stopniu marnotrawstwo czyjejs pracy i papieru. U nas czytelnik przeciętnie „konsumuje” 80-90 proc. tekstu.

— Może nawet więcej. Brak papieru wpływa i na to, że u nas właściwie nie ma reklamy w prasie, a są tylko ogłoszenia. Faktem jest również, że zespoły redakcyjne — a są one dobre, aktywne — nie mają pełnego frontu pracy odpowiadającego ich możliwościom, zarówno w pisaniu jak i redagowaniu pisma przy pomocy autorów z zewnątrz. A nasze społeczeństwo jest wyjątkowo rozczytane.

— Mówiliśmy o regionalnych czasopismach społeczno-kulturalnych. Zapewne są one deficytowe. Co wydawca na to?

— Z naszych 242 tytułów pewna ilość jest deficytowa. Jesteśmy wprawdzie przedsiębiorstwem i mamy swoje plany ekonomiczne oraz wskaźniki, ale w tym przypadku kwestia finansowa nie jest najważniejsza; do tych czasopism dopłacamy z pełną świadomością i przekonaniem, że liczy się przede wszystkim korzyść polityczno-społeczna i kulturalna. Jesteśmy instytucją wydawniczą PZPR działającą pod bezpośrednim kierownictwem KC partii, skupiającą w sobie wszystkie elementy składające się na działalność propagandowo-wychowawczą, pełniący niezmiernie ważną funkcję w zakresie informowania, mobilizowania i wychowywania społeczeństwa, stanowiący mocne ogniwo frontu ideologicznego. I to są sprawy podstawowe.

— Obszernym a wdzięcznym polem tej działalności są kluby prasy i książki oraz kluby międzynarodowej prasy i książki. Chyba bez przesady można powiedzieć, że stały się one wzorem dla domów kultury i innych klubów.

— Tak. Klubów książki i prasy mamy w kraju 8500, klubów MPiK 78, w tym tak pięknie pracujący w Lublinie. Ich podstawowym działaniem jest praca kulturalno-oświatowa, stanowiąca przecież część wielkiej pracy ideologicznej. Kluby te często są jedynymi placówkami kulturalno-oświatowymi na wsi, w dzielnicach miasta, gdzie ludzie mogą się spotkać, usłyszeć coś ciekawego, obejrzeć ładną wystawę, porozmawiać z twórcą, kupić gazetę czy książkę, podyskutować, wypić kawę. Kluby te w ciągu roku organizują ponad 270 tys. imprez kulturalno-oświatowych, 25 tys. wystaw, 3 tys. różnych kursów oświatowych; przy nich istnieje 4450 kół zainteresowań, 980 uniwersytetów powszechnych, 3350 punktów bibliotecznych, 2660 zespołów sportowych. Myślę, że dzięki nim do wielu środowisk, do niedawna zamkniętych obojętym i intelektualnie, wkracza nowy model życia, nie tylko kulturalnego, ale w ogóle. Kluby miejskie są aktywnym czynnikiem integrującym ludność miejscową z tą, która w wyniku urbanizacji napływa do miast.

— Z własnego doświadczenia wiem, że dyskusje trwają tam nieraz godzinami, zwłaszcza na wsi, która aktywizuje się szybko na każdym polu. Ale profil klubów MPiK jest nieco inny.

— Nieco, bo przecież i one prowadzą ożywioną działalność kulturalno-oświatową, rozumiejąc ją jako część pracy ideologicznej. To „nieco” polega na tym, że istnieją one tylko w większych miejscowościach, że uprzywilejniają aż 680 tytułów prasowych, z czego połowę stanowią tytuły importowane ze wszystkich kontynentów świata, reprezentatywne dla danego kraju. Ponieważ są to lokale większe, prowadzimy w nich aktualnie ponad tysiąc kursów dziesięciu języków obcych. Słuchaczy jest około 25 tysięcy, co znów świadczy o wielkim zapotrzebowaniu na tego rodzaju akcję.

— Bardziej scharżowani wątrobia-rze uważają, że w kioskach i klubach — a jest tych placówek w kraju 35 tysięcy — obok prasy niepotrzebnie sprzedaje się mydło, proszki do prania czy żytełki... Czy to przystoi tak poważnemu mecenasowi pracy kulturalno-oświatowej?

— Mecenasem niewątpliwie jesteśmy, ale przecież i mecenas musi mieć swoje środki, inaczej nie może być mecenasem. Prawda, że jesteśmy czwartą największą w Polsce instytucją zajmującą się handlem. Poza prasą sprzedajemy w kioskach i klubach około 5 tys. różnych artykułów wartości blisko 50 miliardów złotych rocznie. Na statystycznego mieszkańca naszego kraju przypada więc prawie 1470 złotych. A nasze kioski są w wielu miejscowościach jedynymi placówkami handlowymi, w dużych miastach często najbliższe położonymi. To przecież olbrzymia wyгода dla klientów. Z drugiej strony kluby nie mogłyby się utrzymać z samej sprzedaży prasy. Więc w tych samych lokalach, przy pomocy tych samych ludzi spełniamy dodatkowo niebagatelną rolę w zaopatrzeniu ludności.

— Podobno w kioskach dużą część obrotów dają wyroby tytoniowe. Dobrze to czy źle?

— Zależy z jakiego punktu na to spojrzeć — zdrowotnego czy ekonomicznego. Sprzedajemy, bo takie jest zapotrzebowanie, ale równocześnie we wszystkich gazetach i czasopismach prowadzimy propagandę przeciw użyciu tytoniu.

— RSW Prasa-Książka-Ruch to nie tylko największy w kraju wydawca pism (93 proc. dzienników i 46 proc. czasopism) i jedyny ich kolporter, mecenas kulturalno-oświatowy i handlowiec, ale także wydawca książek, poligraf, producent wielu artykułów...

— Nasza działalność jest rzeczywiście wielostronna. Mamy 18 drukarni, wartość ich rocznej produkcji wynosi 3 miliardy złotych. Duża ich część w ostatnich latach została unowocześniona z zastosowaniem najnowszych technik. Budujemy wciąż nowe kombinaty wydawniczo-poligraficzne, aktualnie np. w Krakowie. Książka i Wiedza wydaje rocznie około 750 tytułów książek o treści społeczno-politycznej w łącznym nakładzie ponad 30 mln egzemplarzy. Nasza Krajowa Agencja Wydawnicza wydaje książki dla dzieci, foldery, plakaty, pocztówki, slajdy, płyty itd. — łącznie 3.500 pozycji w nakładzie ponad 350 mln egzemplarzy czy sztuk rocznie. I to zarówno dla odbiorców krajowych jak i zagranicznych. Centralna Agencja Fotograficzna zaopatruje pisma w aktualne zdjęcia z kraju i całego świata. Agencja Interpress prowadzi szeroką działalność na zagranicę — wydaje czasopisma i książki w różnych językach o Polsce, przesyła redakcjom zagranicznym materiały publicystyczne o problemach naszego kraju. Posiadamy korespondentów zagranicznych w najważniejszych stolicach świata. Mamy własną sieć łączności, własny transport i niezbędne zaplecze.

— Słyszałem, że RSW produkuje również meble i to zupełnie ładne komplety do mieszkań.

— Prawda. Przejeliśmy od byłego przemysłu terenowego fabrykę mebli w Nowym Mieście Lubawskim i produkujemy nadal według dawnego profilu — to znaczy na rynek za 100 mln

złotych i na własne potrzeby, głównie dla klubów, za 40 mln złotych. Gdy 17 nek meblowy zostanie nasycony, będzie my produkowali tylko dla siebie — to znaczy dla redakcji, klubów, drukarni itd. W tej chwili kupujemy rocznie meble za 60-80 mln złotych i wciąż mamy kłopoty ze zdobyciem odpowiedniego dla naszych potrzeb asortymentu.

— Przed przeszło trzema laty RSW PRASA została połączona ze zjednoczeniem Ruch i spółdzielnią Książka i Wiedza. Jak się czuł wtedy Zarząd Główny patrząc na nowy, niezmiernie obszerny, a tak różnorodny zakres swego działania?

— Przyznam się szczerze, iż zastanawialiśmy się długo, jak będzie można połączyć, zintegrować, w jeden organizm tak różnorodną działalność i jak my sami będziemy się w tym czuli. Dziś muszę powiedzieć, że zarówno fakty jak i odczucia w kierownictwie RSW oraz u naszych pracowników w pełni potwierdzają, że integracja udała się, że wszystko działa dobrze i składnie. Takie jest również przekonanie naszych klientów, którzy nawet nie odczuli, że następuje tak wielka reorganizacja, a jeżeli ją odczuli, to tylko pozytywnie.

— Jako jedno przedsiębiorstwo RSW Prasa-Książka-Ruch należy do największych pracodawców w Polsce.

— Zatrudniamy około 40 tys. ludzi na pełnych, normalnych etatach i ponad 50 tys. na umowach agencyjnych. Posiadamy dobre, prężne, ofensywne środowisko dziennikarskie. Ofiarą, wykwalifikowany zespół pracowników poligrafii, administracji i innych służb. Dobrych, rozumiejących swoją rolę sprzedawców i działaczy, agentów w kioskach i klubach. Jeżeli notujemy osiągnięcia, o jakich tu pokrótce mówiliśmy, jest to ich zasługa, jak również zasługa tych, którzy pracowali w RSW w przeszłości. To dzięki nim nasza instytucja w minionym trzydziestoletnim czasie zyskała sobie dobrą opinię oraz uznanie u najwyższych czynników politycznych i administracyjnych w naszym kraju oraz w społeczeństwie.

— Do dobrego tonu należy obecnie w wywiadach zapytać o sprawy osobiste. Proszę więc kilka słów powiedzieć o sobie.

— Pochodzę ze wsi Wszawy pod Tarnobrzegiem, studiowałem w Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu i Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Potem równo 15 lat pracowałem w Zrzeszeniu Studentów Polskich, a od 1 października 1965 roku w naszej instytucji. Zona pochodzi spod Zwierzynicy, mamy tam rodzinę i stosunkowo często przyjeżdżamy w te uroczyste okolice.

— Czy żadne z dzieci nie przygotowuje się do zawodu dziennikarskiego?

— Syn jest studentem II roku Wydziału Finansów i Statystyki SGPIŚ. Córka uczy się w III klasie liceum z językiem wykładowym francuskim. Ma raczej zainteresowania humanistyczne, ale przyszłego zawodu jeszcze sobie nie wybrała. Może pójdzie na studia, które w przyszłości doprowadzą ją do dziennikarstwa, ale decyzja będzie należała do niej.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
zy Dostatni

przez nią ewokowane. Przyznaję: nie przywiązywałem do nich wówczas większej uwagi, bardziej ceniąc „nie jak, ale co” się przedstawia, konstruuje... Jak wielu innych, głosiłem nawet kres obrazu.

Więc młodzi zaczęli inaczej. Co jednak najciekawsze, właśnie w 1970 roku na łamach 2 numeru „Twórczości” Janek Woźniakowski, człowiek urodzony znacznie przed drugą wojną, wystąpił z esejem „Czy trzeba mieć wstręt do kapiastów?”, na początku którego przypomniał słynne zdanie Maurice’a Denisa: „Pamiętać, że obraz — nim będzie rumakiem, nagą kobietą czy jaką bądź anegdotą — jest w istocie płaską powierzchnią, pokrytą kolorami, zgrupowanymi w określonym porządku”. W tym pięknym i mądrym tekście, mówiąc zwięźle, Woźniakowski domagał się uwagi dla swoistych wartości dzieła sztuki malarzkiej, związanych z formą. Dobrze, zachycamy się Malczewskim, bo zasługuje na to. „Oby to jednak nie były tylko zachwyty literackie; temu niezwykłemu malarzowi



Andrzej Tryzno

Fot. A. Polakowski

należy się także spojrzenie na jego malarstwo. „Pomyśl sam nie wyśtarca... Inaczej każdy poeta byłby malarzem”. (Dodajmy od siebie, trawestując to ostatnie zdanie: Pomyśl sam nie wystarczy... Inaczej każdy publicysta byłby poetą. Nieprawdaż, młodziankowo?).

Przeczytajcie esej Woźniakowskiego. I pamiętajcie, że przez wiele powojennych lat w PWSSP w Łodzi pracownik malarzki prowadził Marian Jaeschke, kiedyś członek kolorystycznego „Przymiatu”, od niedawna będący na emeryturze. Pamiętacie, bo ten oryginał wykształcił przynajmniej kilku bardzo interesujących malarzy, którzy należą do czołówki młodej sztuki polskiej. A metodę stosował prostą, tyle że trochę zapomnianą; wpajał studentom, że podstawą malarstwa jest forma i panowanie nad warsztatem.

Jednym z tych młodych jest Andrzej Tryzno, mieszkający w Warszawie. Urodził się w 1945 roku, łódzkie studia skończył w 1970. Maluje zwyczajne

sytuacje i zwyczajnych ludzi: mężczyzn z rowerem, dwoje starych ludzi przed szlabanem, kamieniec, która jeszcze niedawno stała w Łodzi, sportowca w biegu przez plotki... Jest w tej twórczości gorzka zaduma nad przemianami i przeświadczenie, że świat ludzkich związków jest tyle złożony, co irracjonalny. Ale te treści wynikają przede wszystkim z odpowiedniego kontrastowania czarnych, białych i szarych powierzchni, ze stosowania kadru amerykańskiego, z „wyprowadzania” form poza krawędzie obrazów, z nawarstwiania farby, z celowego sytuowania postaci i przedmiotów — z malarstwa przede wszystkim.

Młody Tryzno jest laureatem kilku poważnych imprez plastycznych w kraju i za granicą, jego obrazy znajdują się w cenionych muzeach.

IJK

Kamena str. 3

W te piękne „Dni” majowe...

Dokończenie ze str. 1

świętęciu jedynemu w swoim rodzaju na świecie. Właściwych początków majowej akcji kulturalnej trzeba jednak szukać w Lublinie, w 1944 r. Tutaj bowiem, z inicjatywy Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, zorganizowano w dniach 3 i 4 grudnia „Święto Książki Polskiej”. Celem „Święta” była propaganda bibliotek i czytelnictwa wśród społeczeństwa lubelskiego oraz przeprowadzenie zbiórki książek i pieniędzy na książki dla bibliotek oświatowych i szkolnych. Zbiórka ta odbywała się pod jednym z pierwszych w Polsce haseł na temat krzewienia kultury: *Książka dla wszystkich, dla wsi i miast, dla młodzieży i dorosłych*. Zebrano wtedy 12 tys. książek i przekazano je bibliotekom. Był to pierwszy, niezbyt jeszcze wielki, ale bardzo potrzebny zastrzyk. Jak wynika z protokołów byłego Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, inwentaryzacja przeprowadzona jesienią 1944 r. na wyzwolonych terenach polskich wykazała, że w bibliotekach udało się uratować zaledwie 10 procent księgozbiorów. Szczególnie ucierpiały biblioteki samorządowe, natomiast obronna ręką wyszła z wojny jedynie Biblioteka im. H. Lopacińskiego, która zachowała niemal całość zbiorów. Trzeba pamiętać, że szeroko pojęta działalność kulturalną organizowano na wyzwolonych terenach niemal tuż po przejściu pierwszej linii frontu. Już 8 sierpnia 1944 r. rozpoczął działalność Referat Kultury i Sztuki w Zamostcu, wkrótce potem zorganizowano referaty w Krasnymstawie, Chełmie i Białej Podlaskiej. 13 października 1944 r. sesja plenarna WRN w Lublinie uznała potrzebę tworzenia w każdej gromadzie domów kultury. Akcja ta, za której wykonanie odpowiedzialny był wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, przebiegała pod hasłem: *Prawo do korzystania z kultury i sztuki ma każdy obywatel*.

W opracowaniach dotyczących początków „Dni Oświaty, Książki i Prasy” spotyka się lukę pomiędzy końcem 1944 r. a początkiem maja 1946 r. Wydawać by się mogło, że społeczeństwo polskie zajęte sprawami kończącej się właśnie w maju 1945 r. wojny, odłożyło rozpoczęcia w Lublinie akcję kulturalną na dogodniejszy, bardziej spokojny okres. Ale tak nie było. W tygodniku „Odrodzenie” z 29 kwietnia 1945 r. udało mi się wytropić notatkę zamieszczoną w rubryce „Kalendarz kulturalny”: *W dniach od 22 do 29 kwietnia 1945 w Łodzi i na terenie województwa łódzkiego odbywa się „Tydzień Książki Polskiej”. W ramach „Tygodnia” przewidziane są propagandowe pochody młodzieży szkolnej i organizacji młodzieżowych, akademii pod hasłem: „Ratujmy książkę polską”, wystawy książek, wycieczki do zakładów drukarskich i muzeów oraz zbiórki książek i kwesta uliczna. Program łódzkiego „Tygodnia” został w pew-*

nym sensie powtórzony, tylko że na skalę ogólnopolską, w czasie „Święta Oświaty” w 1946 r.

Właściwie „Święto Oświaty” planowane było na jesień, ale z uwagi na wydanie 31 stycznia 1946 r. dekretu o bibliotekach i zatwierdzenie go 17 kwietnia przez Krajową Radę Narodową, ustalono termin „Święta” na 1, 2 i 3 maja. Zdecydowano, że będzie to impreza stała, coroczna, propagująca każdorazowo jakiś dział lub czynnik pracy oświatowej. Tematem przewodnim pierwszego „Święta” była książka i zagadnienie bibliotek publicznych.

Kraj bez książek — to twierdza bez broni — pisano w gazetach i na transparentach niesionych w pochodach. Hasło to doskonale korespondowało ze zdaniem wypowiedzianym przez premiera Osóbkę-Morawskiego na odbywającej się właśnie X Sesji KRN: *Walka i odbudowa — to dwie główne nuty w naszym powojennym życiu polskim*. W exposé wygłoszonym podczas wspomnianej sesji premier sformułował 10 zagadnień i problemów wysuwających się na czoło ówczesnego życia kraju. Wśród zagadnień dotyczących walki z głodem, odbudowy przemysłu, wsi, portów, Warszawy, zagospodarowania Ziemi Zachodnich, odbudowy finansów i walki z nędzą powojenną, na ósmym miejscu mówca uwzględnił problem *odbudowy i szerokiego rozwoju oświaty i kultury*.

W Lublinie uroczystości zaczęły się już w sobotę wieczorem, 27 kwietnia 1946 r. Przed budynkiem Kuratorium Szkolnego zebrała się młodzież, do której przemówił kurator Krzemień-Ojak podkreślając znaczenie „Święta Oświaty” i zachęcając do udziału w zbiórce książek. Po nim zabrał głos nacelnik Wydziału Kultury i Oświaty dla Dorosłych, Józef Steliga. Z jego przemówienia warto przytoczyć informację, że w owym czasie w bibliotekach powiatowych jedna książka przypadała na 75 mieszkańców, a 45 proc. szkół powszechnych w ogóle nie posiadało bibliotek. Nad głowami zebranych unosiły się transparenty z hasłami: *Książka krzewicielem oświaty*, *Przez oświatę do równości czy też Książka to twój przyjaciel*, które to hasła wkrótce szalenie się spopularyzowały. Po odświeżeniu „Roty” ulicami Lublina ruszył pochód, oświetlony niesionymi przez młodzież lampionami i pochodniami. Na końcu jechały dwa samochody, z których rozrzucano ulotki propagujące zbiórki książek.

O stabilizowaniu się życia w kraju świadczył m. in. fakt, że w dniach „Święta Oświaty” Poczta Polska wznowiła abonowanie gazet i czasopism.

Te pierwsze „Dni” majowe przebiegały w szczególnie uroczystej i podniosłej atmosferze. Imprezę kulturalną zakrojoną na tak szeroką skalę — choć dzisiaj może nam się ona wydawać dość skromna — Lublin przeżywał pierwszy raz w swojej historii. Prasa miejscowa pisała o problemach kultury w województwie, miejscowe biblioteki organizowały wystawy książki polskiej, a Państwowe Archiwum wystawę historycznych dokumentów lubel-

skich. Odbywały się spotkania autorskie i uroczyste sesje literackie. W teatrze grano „Zemstę”, a kina przeznaczony dochód z biletów na zakup książek dla bibliotek. Niesłychanie operatywna Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” założona przez Jerzego Borejszą, codziennie reklamowała na łamach prasy kolejno wydawane książki: „Fróbę ognia” Tadeusza Hołuj, „Margrabię Wielopolskiego” Ksawerego Pruszyńskiego i „Nową Naprawę” Antoniego Olchy. Zachwycono się pomysłową dekoracją witryn biblioteki Lubelskiej Spółdzielni Spożywców przy ulicy Kapucyńskiej (dzisiejsza ul. Osterwy); dekorację wykonali uczniowie szkoły plastycznej Janiny Miłosiowej. Eksponowano tam m. in. egzemplarze „Zdroju” i „Kamenu”. Z wystawą książki wystąpiła również Biblioteka im. H. Lopacińskiego, którą to tradycję kontynuuje po dzień dzisiejszy.

Szerokim echem wśród młodzieży szkolnej odbiła się zorganizowana 2 maja w Teatrze Miejskim akademii ku czci Henryka Sienkiewicza, która, nawiasem mówiąc, składała się z samej tylko „części artystycznej”, co miało za złe organizatorom jeden z miejscowych recenzentów. Była to impreza „międzyszkolna”, na program złożyły się produkcje uczniów ze wszystkich lubelskich gimnazjów, a kierownictwo artystyczne spoczywało w rękach dr Janiny Pliszczyńskiej. Śpiewały chóry szkolne, recytowano fragmenty sienkiewicowskiej prozy, ale największy entuzjazm wśród widowni wzbudziła inscenizacja fragmentu z „Quo vadis” — scenka pt. „W cyrku” oraz „Nel, Staś i słoń” według „W pustyni i w puszczy”.



Członkowie „czytelnikowskiego” zespołu żywego słowa, r. 1949-1950. Od lewej: Stanisław Pliszczyński — akordeonista, Wanda Laszkówna — piosenkarka, Wiktor Ejsmont, Blanka Rusznia-Pleśniarowiczowa, Barbara Ziemka

Natomiast 3 maja odbyła się oficjalna, uroczysta akademii z udziałem władz i przedstawicieli miejscowego środowiska kulturalnego i artystycznego. Akademię otwierał referat Jana Parandowskiego na temat specyfiki pracy pisarza (odczytany przez żonę z powodu choroby autora). Na część artystyczną złożyły się recytacje utworów słynnych polskich pisarzy w wykonaniu aktorów miejscowego teatru. Rozpoczęto ją „Pieśnią Wajdeloty” Mickiewicza w wykonaniu Karola Borowski, a zakończono fragmentami „Akropolis” Wyspiańskiego recytowanymi przez Irenę Ladosiównę, spinając — jak napisał patetycznie ówczesny recenzent — *tym najwyższym akordem na lutni polskiej całość uroczystości, która nosiła charakter nastrojonej na wysoki diapazon pochwały tego klejnotu — naszej literatury narodowej — jakim słusznie szczyścić się może naród polski*.

Pisząc o akcjach organizowanych w związku ze „Świętem Oświaty” nie można pominąć ogromnego wkładu, jaki wniosły „Zespoły żywego słowa” zorganizowane i finansowane przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”. Ich zadaniem było docieranie do najbardziej odległych miejscowości, do miasteczek, osad i wsi, i propagowanie tam dobrej literatury, piosenki, kultury słowa. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że w owych czasach nawet radio było na

provincji rzadkością, łatwo zrozumieć jak wielką rolę te zespoły spełniały i z jak wielką radością je witano. W Lublinie zespoły „czytelnikowskie” powstały w 1946 r.; kierownictwo artystyczne sprawował początkowo dr Stanisław Papierkowski, a następnie młody zdolny literat, asystent profesora Klejnera — Jerzy Pleśniarowicz. Działały dwa zespoły. Każdy z nich, poza muzykiem-akordeonistą i piosenkarką, liczył 4-5 recytatorów. Kierownikiem jednego z zespołów była Wiera Korneluk, studentka uniwersytetu a także Lubelskiej Szkoły Dramatycznej. Nawiasem mówiąc, członkowie zespołów rekrutowali się głównie albo ze słuchaczy Szkoły Dramatycznej, albo byli to urodzeni artyści studenci lubelskich uniwersytetów.

Pleśniarowicz z nieomylną pewnością wylawiał ich z masy studenckiej i wciągał do pracy. Przez zespoły „czytelnikowskie” przewinęło się w ciągu kilku lat szereg osób, z których wiele związało się później na stałe z teatrem lub amatorskim ruchem artystycznym. Byli też wśród nich przyszli dziennikarze i literaci. M. in. występowali: Wiera Korneluk, Lech Skolimowski, Natalia Złowocka (piosenkarka), Sławomir Litwiński, Wanda Laszkówna (piosenkarka), Barbara Ziemka, Stanisław Siemion, Wojciech Siemion i jego późniejsza żona Jadwiga Galkowska, Bogdan Bernat, Blanka Rusznia-Pleśniarowiczowa, Jerzy Tyczyński. Programy miały charakter kameralnej składanki słowno-muzycznej, propagującej dobrą literaturę i nasyconej aktualnymi treściami politycznymi. Powodzeniem cieszyły się: „Majakowski, poeta rewolucji”, „Matka” wg Gorkiego, „Puszczyń”. Zespół co miesiąc spędzał dwa

tygodnie „w terenie”, występując na wyznaczonej trasie i dojeżdżając na miejsce „własnym przemysłem”. To znaczy autobusem, koleją, lub chłopską furmanką. Nocowano w chałupach wskazanych przez sołtysów, a grono głównie w szkołach i remizach strażackich. Latem zespoły „kupowały” od „Czytelnika” FWP i wtedy artyści mieli zapewnione dwa miesiące „wakacji” w górach lub nad morzem...

Lubelskie zespoły „czytelnikowskie” stały na drugim miejscu w kraju wśród innych sobie podobnych i szkoda, że do tej pory prawie nic o tej interesującej grupie ludzi i ich działalności nie napisano...

W 1949 r. „Święto Oświaty” przekształciło się w „Tydzień Oświaty, Książki i Prasy”, a protektorat nad nim objął prezydent Bolesław Bierut. Nowością było pierwsze w dziejach księgarstwa „wyjście z książką na ulicę”. W Alejach Ujazdowskich w Warszawie stanęło 60 kiosków z książkami, odbywały się występy zespołów artystycznych, literaci podpisali swoje książki, impreza nabrała charakteru wielkiego kulturalnego festynu ludowego. W ramach „Tygodnia” zorganizowano też pierwszy w naszej historii „Dzień Prasy”, a gazety rozpisywały się o pierwszym zorganizowanym w kraju Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Mieścił się on w Warszawie przy Placu Unii Lubelskiej.

„Wie spreche ich...” – czyli jak się rozmawiało z polskimi robotnikami w Rzeszy i GG

Piotr Wierzejski

PO wojnie, w latach dzieciństwa, myszując po strychu rodzinnego domu, znalazłem w starych rupiecach niewielką książeczkę. Zgrabne, kanciaste literki; wiele nie znanych, trudnych do zidentyfikowania, układały się w obecnie niezrozumiałe wyrazy. Pośród nich były i swojskie – „pole, rola, owczarz, lupina, oset, jęczmień...”

Później, kiedy zacząłem się uczyć języka niemieckiego, przypadkowo znaleziona książeczka odkryła swoją tajemnicę. Jej tytuł brzmiał: „Wie spreche ich mit meinem polnischen landwirtschaftlichen Arbeitern?” – „Jak rozmawiam z moimi polskimi robotnikami rolnymi”.

Na dwudziestu stronach tego osobliwego, szwabachą pisanego dziełka w trzech rzędach: niemieckim, polskim i „ausprache” (wymowa) zawarł autor językowe ilustracje najbardziej typowych według niego sytuacji na linii: niemiecki „posiadacz” – polski robotnik rolny. Dla ułatwienia rozmówki podzielone zostały na działy, np. „Kiedy polski robotnik przychodzi”. Ostatnie strony zawierają słowniczek z niezbędnym (wg autora) zapasem słówek.

Wydany w Berlinie podręcznik dla niemieckiego bauera – kilkakrotnie wznawiany – miał ułatwić mu porozumiewanie się z polskimi robotnikami jadącymi na „saksy”, a później z zesłanymi do Rzeszy na roboty Polakami, w Generalnej Guberni służył zaś okupantowi, szczególnie kolonistom, do „kontaktów” z miejscową ludnością.

O czym więc rozmawiał niemiecki gospodarz z polskim robotnikiem rolnym? Przygotowany lingwistycznie przez Johanna Malchera zaczynał

mniej więcej tak: „Jak schen nasywasch? Kjedysch schen urodschil? Gdschesch schen urodschil? Wktorem powjestsche? Skond jestesch? Tschem jestesch? Jakjestsch wiary? Samotny albo oschenjony? Samotna albo oschenjona?”

Po konwenansach zapoznawczych troskliwy gospodarz wprowadzał swoich „drogich gości” do wyposażonych we

sku. Nje rosumiem. Mow po njemjetzku!”

Szalenie zabawne wydają się dziś te polskie słowa w niemieckim zapisie fonetycznym, jeszcze zabawniej brzmiały zapewne w ustach niemieckiego gospodarza. Cały sęk w tym, że sytuacja, w której były używane nie była dla nas wcale zabawną. Więc i ton wypowiedzi często ulegał zmianie. Polacy rozumieli to tak:

„Jutro przyjdzie doktor; będzie każdej dziewczynie ośpice szczepił. To nie kosztuje nic i nie boli. Policja tego żąda. Miejcie baczność na światło i ogień. Wieczorem po dziewiątej godzinie nie śmia chłopcy muzyki robić. Jesteście tu wszyscy? Kto tu braknie? Czemu tu nie jest? Czemu przychodzi się tak późno? Musicie na czas przyjść! To jest dobrze. To jest źle. To musisz lepiej zrobić. Tak tu musisz zrobić. Widziałeś? Zrób to jeszcze raz! Nie bądź taki głupi! Ty leniwcze, próżniaku. Bądźcie pilni! Zróbcie to porządnie! Nie oglądajcie się! Nie śmiecie się! Patrzenie roboty! Jak długo to będzie trwało! Nie wadźcie się! Nie mówcie! Nie stójcie! Jesteście już gotowi? Ile jeszcze macie? Dzisiaj będziecie godzinę dłużej robili!”

Zapobiegliwy wydawca nie zapomniał również o ripostach uśmierzających jakiegokolwiek oznaki niechęci czy pretensji do czulogo niemieckiego gospodarza: „Co chcesz? Daj mi spokój! Bądź cicho! Trzymaj gębę! Idź precz! Kto to był? Tyś był. Wyście byli. To jest prawda. To jest nieprawda. Idź na swoje miejsce. Czekał tu! Idź tam! Przyjdźcie nazad! Idźcie przedemną! Ja przyjdę za wami. Zróbcie śniadanie! Zróbcie południe! Zróbcie wieczór! Idźcie do domu! Jutro przyjdźcie na czas! W niedzielę pójdziecie wszyscy do kościoła!” Bogoboju Müller czy też jakiś Meier wtajemniczał również swe go polskiego gościa w najprostsze sprawy dnia powszedniego, spełniał przy jego pomocy swoje i chyba tylko swoje życzenia: „Zamknij drzwi. Otwórz

drzwi! Zamknij okno! Otwórz okno! Przynies węgla i drzewa! Zamieć izbę! Pościel łóżko! Ochendörz mi bóty! Przynies świeżej wody! Przynies mi śniadanie! Przynies mi obiad! Przynies mi podwieczorek! Przynies mi kolację. Przynies mi chleba, sera etc! Przynies mi piwa! Kup mydła! Kup cylinder etc! Za dziesięć fenygów. Za dwadzieścia fenygów. Za markę. Za trzy marki. Za pięć marek. Dziękuję. Dostę jest. Teraz możesz iść. Co chcesz? Nie rozumię. Mów po niemiecku!”

Tak, jeśli nie gorzej, rozmawiali szwabscy bauery, koloniści na Lubelszczyźnie, Zamojszczyźnie z Polakami. Nawet troska o zdrowie, wyrażająca się np. w szczepieniach przeciwko ospie, kilku innych nielicznych przykładach, nikogo tu nie zwiedziła: Niemcy panicznie bali się w czasie wojny chorób zakaźnych, poza tym polski robotnik rolny był dla bauera zbyt cenną siłą roboczą, by pozbywać się go z lekkim sercem.

Berlińskie wydawnictwo hitlerowskie w przedmowie do swojej wiekopomnej pracy zwraca się do niemieckich użytkowników: „Dziękuję, które leży przed wami, nie spełnia oczywiście zadania nauczania was języka polskiego w stopniu doskonałym. Jego ramy są po temu zbyt wąskie. Niewielki podręcznik użyteczny jest jednak dla posiadaczy wiejskich, którzy zatrudniają w swoich majątkach polskich robotników i zmuszeni są do porozumiewania się z nimi. Im właśnie ofiarujemy to niezbędne oparcie, aby swoją służbę mogli rozumieć. Ciągłe pytania i postulaty dotyczące naszego słownika stanowią dowód, że wydanie dziełka odpowiada nagłej potrzebie chwili...”

Wszystkie egzemplarze, do których udało mi się dotrzeć, noszą ślady wielokrotnego używania. Tak przydatne niegdyś niemieckim gospodarzom – dziś stanowią dla nas jeszcze jeden do nury dokument czasów pogardy dla wszystkiego, co polskie, wszystkiego, co ludzkie.

Wie spreche ich mit meinem polnischen landwirtschaftlichen Arbeitern?

Senderdruck.

des deutschen polnischen Sprachführers

Verlag

Joh. Malcher

wszelkie niezbędne przedmioty komnat:

„Tu jest wascha isba. Tu matsche stol, dwie lawki i wjadro (wenborek). Do roboty dostanę kaschdy, grabię, motyken schepjon, koszyk do kartofli, acherp, rydel i widły gnojowe. Po robotsche muschitsche sasch na komorische naschendschi oddatsch”.

Przysłowiowy niemiecki zmysł organizacyjny znalazł tu ujście w przewidywaniu wszelkich możliwych sytuacji, m. in. takiej, w której polski robotnik spróbuje nawet coś odpowiedzieć na bawarskie imperatywy: „Mow powoli, ja nje rosumiem tak prentko po pol-

Z doświadczeń pedagoga

MATEMATYKĘ MOŻNA LUBIĆ

Maria Wilińska

OD roku 1966, kiedy to zmienił się program nauczania matematyki w szkołach ponadpodstawowych, a zwłaszcza w liceach i technikum, z tradycyjnego, opartego na rachowaniu i mechanicznym zdobywaniu matematycznej sprawności na koncepcyjny, analityczny, młodzież napotyka spore trudności w opanowaniu tego przedmiotu. Wiąże się to na pewno z dużą rozbieżnością programu szkoły podstawowej z programem szkoły średniej. Dzieci uczące się obecnie w klasach I–IV szkoły podstawowej będą miały większą łatwość w przyswajaniu wiadomości z matematyki w szkole średniej, ale dopóki te dzieci nie trafią do szkoły średniej, musimy wykształcić kilka pokoleń maturzystów.

Jak wobec tego ułatwić proces przyswajania matematycznej wiedzy? Spośród wielu metod, jakimi dysponuje nowoczesna dydaktyka, żadna nie zapewnia możliwości nauczania matematyki tylko na lekcji w nauczaniu zbiorowym, klasowym. Bo przecież znać matematykę to nie znaczy znać wzory i prawa rządzące poszczególnymi jej działami; znać matematykę to znaczy posługiwać się tymi wzorami i prawami w rozwiązywaniu różnych problemów matematycznych; to trafność w obieraniu drogi wiodącej do rozwiązania danego problemu. Aby tę trafność osiągnąć niezbędna jest rzetelna i systematyczna praca ucznia nie tylko na lekcji, ale i poza nią.

Pracę tę ułatwiają stosowane przemienne metody i formy prowadzenia lekcji przy użyciu nowoczesnych środków dydaktycznych. Przy okazji jawi się pytanie czy zawsze, w każdej dyscyplinie i na każdej lekcji, należy na siłę uatrakcyjniać

proces lekcyjny środkami dydaktycznymi? Nie, a już na pewno nie na lekcjach matematyki, która przecież ma zmuszać do myślenia. Pokaz natomiast na tyle uatrakcyjnia lekcję, co obezwładnia myślenie.

Oczywiście nie o każdej pomocy naukowej tak można powiedzieć, bo na przykład model bryły jest konieczny przy omawianiu jej powierzchni czy objętości, a odpowiedni rysunek przy rozwiązywaniu zadania z geometrii. Ale jak wiele jest jednostek lekcyjnych, gdzie właściwie tablica, kreda oraz merytoryczna wiedza nauczyciela i dobra organizacja pracy spełniają oczekiwane zamierzenia. Tak więc nie zawsze korzystamy z pomocy środków dydaktycznych na lekcjach, ale zawsze musimy właściwie zorganizować pracę swoją i ucznia.

Aby zagwarantować uczniowi ciągłość pracy należy zamknąć proces dydaktyczny na lekcji również i w tym znaczeniu, by uczeń mógł samodzielnie odrobić pracę domową w szkole pod nadzorem nauczyciela. W ten sposób można wyeliminować plagę niesumienności ucznia, jego niesamodzielności, która niejednokrotnie jest przyczyną pogoni rodziców za korepetytorami.

Moje doświadczenia w tej dziedzinie dotyczą jednej z trzech równoległych klas, w której zastosowałam eksperymentalnie nową zasadę organizacji pracy. Mianowicie wszystkie godziny matematyki przewidziane siatką godzin – trzy godziny tygodniowo – są umieszczone w planie jednego dnia. Zgodnie z higieną pracy umysłowej ucznia są to początkowe godziny pracy w badanej klasie. Zajęcia ułożone w ten sposób stwarzają niezaprzeczalny walor logicznej ciągłości myślenia i koncepcyjnej pracy uczniów, co z kolei pozwala mi na przerobienie większej ilości materiału programowego, a przede wszystkim na głębsze i szersze jego rozpracowanie.

Przemienne metody i formy prowadzenia zajęć sprawiają, że uczniowie nie są ani znużeni, ani zmęczeni taką pracą. A formy są różne, począwszy od dawno znanej heurezy, wówczas gdy należy wprowadzić nowe pojęcia matematyczne w oparciu o już znane, poprzez metodę problemową w nauczaniu zespołowym i ćwiczeniową w nauczaniu zbiorowym, kiedy to chodzi najczęściej o sprawdzenie znajomości już przerobionego materiału, a szczególnie o jego pogłębienie. W zajęciach tych ważną rzeczą jest dobór odpowiednich zadań – stopnia ich trudności oraz logicznego powiązania problemów. Dużą pomocą na takich zajęciach są zbiory zadań N. Dróbkę, E. Plucińskiego, R. Leitnera i inne.

Po 3-godzinnych zajęciach programowych w tej klasie jest dodatkowo przewidziana na matematykę czwarta godzina, społecznie przeze mnie prowadzona, na której uczniowie w zespołach bądź ćwiczeniowo przy tablicy odrabiają pracę domową. Praca domowa jest również zróżnicowana i odpowiednio dobierana. Na pierwszych lekcjach dłuższego hasła programowego są wybierane najczęściej łatwe zadania z podręcznika, na dalszych już trudniejsze – ze zbiorów. A i wśród tak dobieranej pracy domowej dokonuję dodatkowej selekcji zadań dla wszystkich uczniów klasy i dla chętnych, tych zdolniejszych, gotowych do podjęcia większego wysiłku myślowego.

Ze względu na to, że klasa w której podjęłam tego rodzaju pracę, jest jedną z trzech równoległych, a w jednej z tych dwóch pozostałych uczy także, mogę porównać wyniki nauczania matematyki w obu klasach. W klasie o eksperymentalnym sposobie prowadzenia lekcji na 41 uczniów tylko 3 miało wyznaczone egzaminy poprawkowe w ubiegłym roku szkolnym; w klasie równoległej na 34 uczniów 6 miało oceny niedostateczne z matematyki. Również okresowe prace pisemne wypadły lepiej w omawianej klasie, mimo że dobór merytoryczny treści prac był taki sam.

Wart podkreślenia jest także fakt, iż opisana metoda pracy bardzo podoba się młodzieży, a co najważniejsze – przynosi wymierne korzyści wychowawcze, gdyż przyczynia się do wdrażania ucznia do samodzielnej pracy.

W bieżącym roku szkolnym kontynuuję tę pracę, a czy osiągnęłam zamierzenia okaże się teraz w czasie matury.

A może w tej sprawie wypowiedzą się inni nauczyciele?

NOTTINGHAM leży w środkowej Anglii oraz nad rzeką Trent. Miasto liczy 300 tysięcy mieszkańców, z czego trzy i pół tysiąca to Polacy. Jednym z nich jest Zbigniew Edward Soltysik, właściciel „Z.E.S. World Wide Travel”, czyli biura podróży oferującego „Wyjazdy na szeroki świat”. Firma trzyma się mocno, należy do ścisłej czołówki tego rodzaju placówek w Nottingham, a w skali Wielkiej Brytanii zajmuje drugie miejsce na liście biur podróży prowadzonych przez naszych rodaków. Jej roczne obroty sięgają miliona funtów, w lokalu przy Mansfield Road możecie załatwić sobie podróż na Hawaje, do Australii, Kalifornii i do Polski, a także do wielu innych miejsc świata. Siedmioosobowy personel „World Wide Travel” spełni wszelkie wasze wyobrażenia o sprawnej obsłudze, a sam szef może nawet zaprosić na lampkę wina, proponując dialog w następujących językach: angielskim, polskim, niemieckim, włoskim, rosyjskim i ukraińskim. Jeśli do tego dojdzie, będziecie mieli okazję rozmawiać z człowiekiem średniego wzrostu, barczystym, o wyrazistych rysach twarzy, które jakby symbolizują sposób wypowiedzi tego biznesmena. Posiada on dar narracji jednoznacznej, bez owijania w bawełnę. A rozmawiać możecie o wszystkim, na przykład o boksie, czy sprawności fizycznej w ogóle i jej znaczeniu w życiu człowieka.

Z. E. Soltysik urodził się we Lwowie w 1914 roku i kiedy osiągnął wiek odpowiedni, powołano go do podchorążówki. Silny był i bitny, więc zaczął boksować pod okiem Feliksa Stamma, zdobywając nawet w latach trzydziestych wojskowe mistrzostwo Warszawy w wadze półśredniej. Pojedykował się m. in. z Koleczyńskim, międzywojenną znakomitością naszego boksu. Na dodatek ukończył kurs instruktorski w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego.

Kampanię wrześniową rozpoczął w Armii Pomorza, a zakończył — 5 października 1939 roku — w Armii Polesie. Po wielu dramatycznych przeżyciach trafił do polskiej armii na Bliskim Wschodzie.

W okresie kampanii afrykańskiej skierowano Soltysika do Kairu, na przeszkolenie oficerów łączności. Kurs ukończył, ale tymczasem zdążyło rozwiązać

się i chlebem — był to posiłek podstawowy — a jej głowa pozwalała sobie raz w tygodniu na wspomnienie o lepszych czasach, czyli na wypicie jednej butelki piwa marki „Guines”. Wynajęcie jednego pokoju pochłaniało połowę zarobków; właściciele mieszkań wyjątkowo bezwzględnie drenowali kieszenie rodzin z małymi dziećmi, wykorzystując trudną sytuację tych ludzi. Takie myślenie ekonomiczne reprezentowali nie tylko tubylcy, ale również i nasi rodacy, już jako urzędnicy w Wielkiej Brytanii i przejmujących reguły gry obowiązujące na Wyspach. Całe szczęście, że ciotka z Ameryki wspomagała Soltysików, śląc im paczki z odzieżą. Jeszcze dzisiaj 12 procent 120-tysięcznej Polonii brytyjskiej korzysta z opieki społecznej. Inna sprawa, że nasi rodacy ślą swoim krewnym w kraju 5—6 milionów dolarów rocznie.

Soltysik pracował na odkrywkach węglowych do czasu, aż uległ wypadkowi, łamiąc kręgosłup. Niemal rok przeleżał w gipsie, a potem, zgodnie ze wskazówkami lekarza, jął się rozwożenia mleka, czyli został milkmanem. Praca na świeżym powietrzu, ruch i ćwiczenia fizyczne miały mu pomóc w odzyskaniu pełnej sprawności. I rzeczywiście, był bokser i żołnierz doszedł do siebie, ale przy okazji stracił na zarobkach. Zatem wystarał się o posadę kierowcy autobusu komunikacji miejskiej, która nie tylko awansowała go materialnie, ale i społecznie. Obcokrajowców nie przyjmowano co prawda do tej roboty, ale na szczęście Soltysik uzyskał już obywatelstwo brytyjskie.

Za kierownicą „Leylanda” przesiedział osiem miesięcy, do momentu spotkania dawnego kolegi, który powiedział: „Ty się, Zbyszek, marnujesz w takiej robotce, a nam potrzeba ludzi, bo chcemy jakiś ośrodek życia polskiego zorganizować w Nottingham”.

Kiedy siedząc w gabinecie właściciela „Z.E.S. World Wide Travel” dojdziecie w rozmowie do tego momentu, to wiedźcie, że temat „sprawności fizycznej w ogóle i jej znaczenia w życiu człowieka” został właściwie wyczerpany i pora na podjęcie wątku pod tytułem: „co można uzyskać przez skrzyżowanie postawy racjonalnej i pragmatycznej z emocjonalną”. Na wszelki wypadek radzę jednak zapamiętać, że kondycja Soltysika wzięła się tyle z tre-



Zbigniew Soltysik

lonii Brytyjskiej, która skupia ludzi życzliwie nastawionych do Polski Ludowej. Nawiązał kontakty ze ZBoWiD-em, Jest członkiem honorowym tego Związku i nieraz go gości w Nottingham jego przedstawiciele; niedawno podejmował generała Berlinga, znajomego z Krasnowodzka. Odwiedzają sze-

MISTER SOŁTYSIK

Ireneusz J. Kamiński

jego 8 pułk artylerii. Wcielony do 1 pułku pomiarów artylerii, nudził się tam okropnie, aż wreszcie — eksponując swoją sprawność fizyczną — udało mu się dostać przydział do oddziałów specjalnych, stacjonujących w bazie nr 10 we Włoszech. Tam właśnie szkolono m. in. „cichociemnych”, rzucanych na terytorium Polski. Soltysik został instruktorem walki wręcz. Nie spodziewał się, jak bardzo przydadzą mu się umiejętności pracy ręcznej rozwinięte w tym okresie.

Po upadku powstania warszawskiego dalsze rzuty „cichociemnych” straciły sens, więc bazę nr 10 rozwiązano. Soltysik został dowódcą 3 baterii 12 pułku artylerii ciężkiej, z którą przeszedł szlak Ancona — Bolonia — Faenza. Wojnę zakończył w randze kapitana armii brytyjskiej, z odznaczeniami na piersiach: Gwiazdą Brytyjską, Gwiazdą Afryki, Gwiazdą Włoch i dwoma innymi medalami.

Życie „po angielsku” rozpoczął w 1948 roku, wraz z żoną, która dotarła do Nottingham nieco wcześniej, zachęcona przez swych krewnych, osiadłych w tym mieście. Wszystko wskazywało, że w samej Wielkiej Brytanii będzie się można urządzać wygodnie, po ludzku, licząc przy tym na odrobinę szczególnych względów dla kombatanta z medalami. Okazało się jednak, że Anglicy nie tyle są flegmatyczni, co diabelnie rzeczowi, dalecy od sentymentów, wręcz funkcjonalni w swym rozumieniu miejscowej jednostki w społeczeństwie. Mister Soltysik był dobry jako instruktor brytyjskich komandosów i artylerzysta czasu wojny, ale teraz, kiedy życie wróciło do normy, okazał się tylko obcokrajowcem. Tacy jak on, bez względu na wykształcenie, mogli więc liczyć na pracę ciężką a prostą, żmudną i nie dającą żadnych perspektyw na osiągnięcie jakiegos wyższego miejsca w brytyjskiej hierarchii społecznej. Proponowano im z reguły robotę fizyczną w kopalniach, fabrykach, przy budowie dróg. Jako były spadochroniarz Soltysik nie znośił zamkniętych przestrzeni, wybrał więc pracę w zielonej scenerii soczystych pól środkowej Anglii, czyli zaczął tuc kamienie na szosie i kopać rowy kanalizacyjne, posługując się łopatą nr 18. Kiedyś uczył walki wręcz.

Pracował też przy oczyszczaniu węgla w kopalni odkrywkowej; była to mordęga, straszne tyranie po 16 godzin na dobę. Pewnej nocy koparka, do której go „przypisano”, utknęła głęboko w glinie i coś pękło w jej mechanizmie, znajdującym się pod spodem. Zatem Soltysik podkopał się pod maszynę — a było to zimą — i dotarłszy do miejsca defektu, zaczął zmieniać śrubę główną. Zdjął zepsutą, przykręcił nową — razem z własnym palcem, w którym stracił kiedyś czucie, „obcięte” wraz z koniuszkiem owego palca. Przykręcił, nic nie czując, tak mocno, że sam nie był w stanie wyzwolić się z pułapki. Przeleżał w niej, niemal bez ruchu, sześć godzin.

Do połowy lat pięćdziesiątych Soltysik zarabiał 4 funty i 10 szylingów tygodniowo, mając na utrzymaniu żonę i czworo dzieci. Rodzina odywiała się zu-

ningu fizycznego, którego nie skąpiło mu życie, co z pragnienia przetrwania i bycia „kims więcej”.

Soltysik zszedł z „Leylada” i rychło w Nottingham powstał „ośrodek życia polskiego”, czyli Dom Stowarzyszenia Lotników, ulokowany w starej ruderze, zakupionej przez Polaków. Jego kierownikiem został niedawny łopaciarz, milkman, kierowca autobusu, który okazał się wcale zręcznym organizatorem. Inwencja Soltysika nie kończyła się na urządzaniu konwencjonalnych bałi polonijnych, zapasów o tytuł miss, takich czy innych spotkań. W siedzibie Stowarzyszenia zaczęto gościć sportowców z kraju oraz tancerzy i śpiewaków „Mazowsza”. Od 1955 do 1958 roku były kapitan armii brytyjskiej konsekwentnie otwierał okno na Polskę, co zresztą znajdowało odbicie w tamtejszej prasie, budziło publiczne zainteresowanie.

Tymczasem Soltysik otrzymał odszkodowanie za wypadek w kopalni, co umożliwiło mu działanie na własną rękę. Rychło kupił dom o piętnastu pokojach (30 łóżek), w którym uruchomił hotel i niewielkie biuro porad i tłumaczeń w językach: rosyjskim, ukraińskim, włoskim, angielskim, niemieckim, których nauczyło go życie. Szlifował je we własnym zakresie, albo, jak w przypadku angielskiego, na kursach wieczorowych, zakończonych egzaminem.

W 1958 roku odwiedził Soltysika nasz konsul generalny. „Zrobił pan tyle dla Polaków, więc dlaczego nie mógłby pan pracować dla kraju?” Niedługo potem Soltysik został przedstawicielem „Orbisu” i Banku PKO na środkową Anglię. „Mówiąc szczerze, Polska też mnie postawiła na nogi pod względem handlowym”.

Ale interes wciąż tkwił „przy bocznej ulicy”, bo jego właściciel nie posiadał wszystkich uprawnień brytyjskich, potrzebnych do prowadzenia biura podróży. Więc ciągle uczęszczał na odpowiednie kursy, zdawał egzaminy, no i w końcu osiągnął cel zamierzony. W 1967 roku został przyjęty do stowarzyszenia brytyjskich agencji podróży, sprzedał hotel i otworzył biuro podróży z prawdziwego zdarzenia, umożliwiające peregrynacje po wszystkich kontynentach.

Przez cały ten okres dochodzenia do pełnej samodzielności Soltysik rozwijał kontakty z krajem. Organizował (i organizuje) wyjazdy dzieci i młodzieży ze środowisk polonijnych na kolonie i obozy w Polsce. Reprezentował i wspierał finansowo Fundusz Olimpijski, Fundusz Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, Fundusz Budowy Centrum Zdrowia Dziecka. Urządził ponad dziesięć wystaw o Polsce, m. in. „Dzieje oręża polskiego”, „Warszawa wczoraj — dziś — jutro”, „Odra i Nysa”. Sprowadzał artystów opery i estrady z kraju. Działał w Komitecie Obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego, który ufundował szkołę w Nidzicy. Powoływał i nadal organizuje różne stowarzyszenia polonijne na rzecz współpracy z krajem, jest przewodniczącym Rady Po-

fa „World Wide Travel” nasi ministrowie, jak np. Janusz Wieczorek oraz inni działacze np. sekretarz generalny Towarzystwa „Polonia” Wiesław Adamski.

Początkowo działalność Soltysika była wręcz bojkotowana przez polonijne kręgi tzw. niezłomnych. Kiedy przed piętnastu laty wyświetlał pierwszy film polski, na sali projekcyjnej znajdowały się trzy osoby, a przed jej drzwiami stało dziesięciu obywateli, którzy ostrzegali potencjalnych widzów przed propagandą komunistyczną. Ale kiedy w minionym roku dał „Hubala”, tysiąc osób zasiadło przed ekranem, a dwieście innych bezskutecznie dobijało się do drzwi. Dodajmy przy okazji, że wszystkie imprezy kulturalne — seanse filmowe, koncerty, wystawy — urządził Soltysik na koszt własny, nie pobierając opłaty za wstęp i nie zgadzając się na to, aby nasza ambasada w Londynie choćby częściowo partycypowała finansowo w tych przedsięwzięciach.

Dziś nawet „niezłomni” szukają okazjonalnie pomocy u Soltysika. Tak było np. w przypadku sobotniej szkółki dla 200 dzieci, dla której nie mogli znaleźć pomieszczenia, zwracając się w końcu o wsparcie do „sługi reżimu”, jak niegdyś określił Soltysika emigracyjny „Dziennik Polski”. Kilkanaście lat temu były oficer należał do Stowarzyszenia Polskich Kom batantów, Związku Spadochroniarzy i Stowarzyszenia Lotników, ale po nawiązaniu współpracy z krajem musiał opuścić te organizacje. „Kiedy mnie rozliczano w Stowarzyszeniu Lotników, powiedziałem prezesowi Scibor-Rylskiemu, że swojej pracy dla kraju nie zaniecham, bo poza taką działalnością nie widzę innego powodu przebywania poza granicami Polski. Naszym obowiązkiem jest służyć krajowi”.

W 1969 roku Rada Państwa PRL przyznała Zbigniewowi E. Soltysikowi Złoty Krzyż Zasługi, a w 1976 — Złotą Odznakę Orderu Zasługi — przyznanego od niedawna cudzoziemcom zasłużonym dla Polski. Aktu dekoracji tym orderem dokonał Artur Starewicz, ambasador PRL w Londynie, który wskazując na wielkie zasługi Z. E. Soltysika dla kraju, podkreślił bezinteresowność jego działalności. W wydanym z tej okazji cocktail-party uczestniczył m. in. lord-mayor Nottinghamu. Soltysik jest szanowany przez Brytyjczyków i honorowany przez Polaków z kraju, co zupełnie nie mieści się w głowach „niezłomnych”, którzy wspominają dawne czasy i ze zgrozą obserwują, jak „ich” harcerze odwiedzają biuro Soltysika. A już zupełnie nie mogą wytłumaczyć sobie faktu, że współpracujący z Polską Ludową człowiek jest przewodniczącym partii konserwatywnej północnego Nottinghamu, odwiedzanym przez panią Teacher.

POCZĄTEK...



Polska, wrzesień 1939 r.



Francja, maj 1940 r.



ZSRR, czerwiec 1941 r.

Cios ostateczny

Edmund Jan Osmańczyk

NIE ulega wątpliwości — stwierdza najskrupulatniejszy dziejopis udział I Armii WP w operacji berlińskiej, płk Zdzisław Stapor — że decyzja skierowania I DP im. T. Kościuszki do walk w Berlinie została podjęta nie tylko ze względów operacyjno-taktycznych. Istotną rolę odegrały względy polityczne. Chodziło o to, aby naród polski, który w 1939 r. pierwszy stawiał zbrojny opór niemieckiej agresji w Europie, a w latach następnych doznał ogromnych strat w walce z hitleryzmem, użył skądś moralną satysfakcję bezpośredniego uczestniczenia w zdobyciu stolicy najeźdźcy i okupanta. Chodziło również o zadokumentowanie polsko-radzieckiego braterstwa broni, zrodzonego we wspólnych walkach partyzanckich i na regularnych liniach od Mierei pod Lenino do Odry i Nysy Łużyckiej. Spośród wszystkich armii państw koalicji antyhitlerowskiej tylko jednostki Ludowego Wojska Polskiego uzyskały możliwość uczestniczenia w walkach radzieckich sił zbrojnych na ulicach Berlina. Tylko one zdobyły prawo zawieszenia na gruzach stolicy III Rzeszy swych biało-czerwonych sztandarów obok czerwonych sztandarów radzieckich.

Dodać trzeba, że głównymi symbolami prusko - niemieckiego imperializmu w Berlinie były Reichstag i Bismarckowska Kolumna Zwycięstwa w sercu Tiergartenu. Reichstag był symbolem Rzeszy. Tej stworzonej przed 74 laty, w 1871 r., z ambicją dominowania nad całą Europą i rozszerzenia swych granic coraz dalej na wschód. W 1933 r. podpalenie przez hitlerowców Reichstagu było sygnałem do walki ze wszystkim co postępuje w Rzeszy. Reichstag stał się więc symbolem prowokacji i terroru Trzeciej Rzeszy.

Ustawiona w alei Zwycięstwa w Tiergartenie pruska Siegessäule stanowiła alegorię potęgi Prus, tego najgroźniejszego tworu państwowego dla trzech narodów: polskiego, niemieckiego i francuskiego.

W tych ostatnich dniach walk jednostki radzieckie, prące do centrum hitlerowskiego oporu, otrzymywały czerwone sztandary, z rozkazem, aby jednostka, która pierwsza dotrze do Reichstagu, zatknęła na nim radziecki sztandar. W oddziałach naszych kościuszkowców przygotowano flagi biało-czerwone dla zawieszenia ich na pruskiej Kolumnie Zwycięstwa.

Wytłoczona, na rozkaz zastępcy dowódcy do spraw polityczno - wychowawczych płka Piotra Jaroszewicza, w drukarni polowej odezwa do polskich żołnierzy brzmiała:

Kościuszkowcy!

W ciągu dwóch lat wspólnie z przyjacielską Armią Czerwoną zadawaliśmy druzgocące ciosy wojskom hitlerowskim. Wasz szlak od Lenina poprzez Pragę, Wał Pomorski, forsowanie Odry — szlak owiany chwałą zwycięstwa — dobiega końca.

Kościuszkowcy!

Idźcie, by szturmować leże faszyzmu i hitlerowskiego zwierza. Okazano wam wielkie zaufanie. Wy — jako siła zbrojna niezwycięzonego narodu — z dumą zatknijcie na gruzach Berlina biało - czerwony sztandar — symbol tego kraju, który nie zginął i nigdy nie zginie.

I pułk piechoty I dywizji piechoty otrzymał rozkaz przejścia do akcji bojowej w rejonie Charlottenburga, gdzie natychmiast przystąpił do walk ulicznych na odcinkach Pestalozzstrasse, Goethestrasse i Bismarckstrasse.

2 pułk piechoty I dywizji piechoty nacierał we współdziałaniu z radziecką 219 brygadą pancerną w pasie określonym z prawa przez Kurfürstendamm, most na kanale przy Keitstrasse i dalej wzdłuż kanału, a z lewa przez most na Berlinerstrasse, staw Neuessee i dalej wzdłuż Tiergartenstrasse.

3 pułk piechoty natomiast prowadził uderzenie w kierunku Siegesallee, we współdziałaniu z radziecką 38 brygadą pancerną, w pasie określonym z lewej dworcem miejskiej kolei nadziemnej S-Bahn-Tiergarten i pałacem charlottenburskim — Charlottenburger — Schloss, a z prawej mostem na kanale przy Berlinerstrasse, stawem Neuessee i Tiergartenstrasse. Atak rozpoczęty został z Englischerstrasse, Berlinerstrasse, Siegmundhofstrasse i z północnego skraju stacji Tiergarten.

Poza tym w bojach o Berlin brała udział polska I brygada moździerzy, wspierając ogniem działania radzieckiej 47 armii w rejonie Poczdamu i Szpandawy. 5 pułk moździerzy tej brygady wspomagał ataki radzieckiej 75 dywizji piechoty, mającej na celu zniszczenie okrajonej grupy wojsk nieprzyjacielskich w dzielnicy Szpandawa, stycznej z silną fortecy, wojskowego więzienia i podziemnych fabryk zbrojeniowych. Tu w dwa lata później, w szpandawskim więzieniu, pod strażą Amerykanów, Anglików, Francuzów i Rosjan, odbywać będą karę hitlerowscy zbrodniarze wojenni, skazani w Norymberdze przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy na wieloletnie i dożywotnie kary więzienia.

I zaś pułk moździerzy i brygady moździerzy WP wspierał ataki radzieckiej 175 DP przeciwko grupom wojsk SS ustępujących z Poczdamu, rezydencji pruskich królów, gdzie już w lipcu 1945 r. mieli się zebrać szefowie rządów zwycięskich mocarstw i historycznymi uchwałami zlikwidować imperialistyczne Prusy i imperialistyczną Rzeszę, uznać granicę Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej, uzależnić przyszość narodu niemieckiego od wyrwania z korzeniami antyludzkiego nacjonalizmu i militarystyki.

Należy dodać, że oprócz I dywizji piechoty i brygady moździerzy w walkach na ulicach Berlina brały również udział 2 brygada artylerii haubic i 6 batalion pontonowo-mostowy, które wspierały natarcie 2 armii pancernych gwardii.

Tak więc jednostki polskie skierowane do walk w Berlinie brały udział w zdobywaniu najbardziej butnych miejsc tego miasta: Szpandawy oraz drogi triumfów Prus i Rzeszy — Via Triumphalis, jak po łacinie nazwany został przez Goebbelsa ciąg ulic od Szpandawy, prowadzących do serca stolicy: Kaiserdamm, Berlinerstrasse, Charlottenburgerhaussee, Siegesallee (przecinająca Tiergarten i dochodząca do Bramy Brandenburskiej), Unter den Linden i Frankfurter Allee. Ten łańcuch ulic, którymi paradowały hitlerowskie wojska przed wojną i w czasie wojny w dniach triumfów Trzeciej Rzeszy, stał się teraz mjal szlakiem triumfu — Rosjan i Polaków. [...]

Dowódca I pułku I dywizji piechoty WP, ppłk B. Maksymczuk, meldował 1 maja 1945 r.:

Nieprzyjacieli stawia zaciekle opór, prowadząc silny ogień z broni maszynowej i pojedynczych snajperów z dachów, strychów i okien kamienic. Szczególnie trudne są do opanowania domy na narożnikach ulic, skąd nieprzyjaciel prowadzi intensywny ogień snajperów ukrytych i zamaskowanych w oknach na różnych piętrach kamienic. Ponadto z tychże okien prowadzi ogień z panzerfaustów do czołgów i dział samobieżnych, które wspierają nasz pułk. Zdarzają się też wypadki, że zza węgla i okien do naszych żołnierzy strzela ludność cywilna.

...I KONIEC



Berlin, maj 1945 r.



Kapitulacja III Rzeszy



Proces hitlerowskich zbrodniarzy wojennych

W tym samym czasie zameldował dowódca 2 pułku piechoty 1 dywizji piechoty WP, płk dypl. W. Sienicki:

Nieprzyjaciel przed frontem pułku zajmuje obronę oddziałami 12 kompanii polich nie ustalonej numeracji, w pojedynczych zabudowaniach przy Berlinerstrasse, przejawiając aktywność ogniową z broni maszynowej i panzerfaustów (...). Trwają walki o całkowite zniszczenie nieprzyjaciela w północnej części Berlinerstrasse, po czym pododdziały pułku będą kontynuować wykonanie postawionego przed nimi zadania. Nasze pojedyncze kompanie usiłują przejść na południową stronę Berlinerstrasse i szosę (charlottenburską).

Dowódca zaś 3 pułku piechoty 1 dywizji piechoty WP, płk A. Archipowicz, meldował:

W ciągu dni 30.04 i 1.05.1945 nieprzyjaciel prowadził intensywny ogień z broni ręcznej i maszynowej (przy czym daje się dotkliwie we znaki ogień snajperów) oraz silny ogień z artylerii ciężkiej i moździerzy 122 mm. W ciągu wymienionych dni pułk prowadził walki o budynki zamienione przez Niemców na silne punkty oporu w kwartale między Englischerstrasse i Berlinerstrasse. W obecnej chwili znajduje się 20 metrów na północ przed mostem Berlinerstrasse-Landwehrkanal, na wschodzie 50 metrów przed Siegmundhofstrasse i torem kolejowym (S-Bahn-Tiergarten).

Za każdym suchym, rzeczowym opisem w wojskowych raportach tał się ogrom ludzkich napięć, które ożywić na nowo potrafi tylko wielka sztuka pisarska, filmowa, malarska, rzeźbiarska, muzyczna. [...]

BYŁA godzina piąta rano, dzień drugi maja 1945 r. Teraz przed żołnierzami 1 Armii WP roztoczyła się niepowtarzalna panorama dogorywającego centrum stolicy Prus i Trzeciej Rzeszy.

Na pierwszym planie widniał Tiergarten. Ogromny park, którego drzewa skoszone i osmalone pociskami wyglądały jak cmentarne krzyże. W samym jego środku świeciła złoceniami pyszna Siegesssäule — Kolumna Zwycięstwa.

Dowództwo 7 baterii 3 dywizjonu, której wypadło maszerować przez Tiergarten na Unter den Linden, zdecydowało zawieszenie polskiej flagi na Kolumnie Zwycięstwa.

Z zebranych relacji wynikało, że inicjatorem był ppor. Mikołaj Troicki, decyzję podjął ppor. Stanisław Szymanik, a weszli na kolumnę poza wymienionych: kapral Karpowicz, plutonowy Kazimierz Otab i kanonierzy Antoni Jabłoński i Eugeniusz Mierzejewski. Krętymi schodami wewnątrz pomnika doszli szczytu cokółu, na którym stoi anioł zwycięstwa. Do prawej dłoni „des Elefensäule” przymocowano chorągiew biało-czerwoną. Od Reichstagu nadbiegli ra dzieci gwardyjcy. Sztandar czerwony z młotem i sierpem zatknęto w drugą dłoń anioła oruskiego zwycięstwa nad Francją. Na cokole spisano akt w języku polskim i rosyjskim — akt słowiańskiego zwycięstwa nad germańskim imperializmem.

Polscy żołnierze udali się następnie na Unter den Linden. Dowódca 1 Armii WP, gen. broni Stanisław Popławski, tak opisał te poranne ostatnie chwile berlińskich bojów naszych kościuszkowców, którzy „spędzili w ogniu i dymie 25 godzin bez przerwy”:

I oto nareszcie oczekiwana Brama Brandenburska. Ze wszystkich stron, ze wschodu, z południa ciągną tu ciężkie ezolgi radzieckie, nadchodzi zmęczona piechota. Entuzjastyczne okrzyki, żołnierze padają sobie w objęcia, słychać słowa przysięgi wieczystej przyjaźni, wykutej i okrzepłej na polu bitwy, uświęconej żołnierską krwią.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!
— Niemcy skapitulowały. Hitler kaput!

— Koniec wojny!
— Hura!
— Niech żyje!

Po załamaniach kolumn Bramy Brandenburskiej zręcznie wspinają się polscy i radzieccy żołnierze, trzymając w ręku radziecki czerwony sztandar z sierpem i młotem oraz biało-czerwony sztandar polski. Umocowują je jeden kolo drugiego.

A na dole, w cieniu sztandarów państwowych dwóch sojusznicych krajów, rozlegają się dźwięki harmonii grającej to rosyjską „Bariniu”, to krakowiaka; dziarsko tańczą Rosjanie i Polacy.

W tym czasie hitlerowcy darli białe poszwy na flagi kłęski. Brunatny przez 13 lat Berlin stał się nagle bielutki jak niewinność w Europie, a żaloba w krajach Dalekiego Wschodu.

Fragment książki „Chwalebna wyprawa na Berlin”.

Rzecz o diabelstwie poskromionym

Maria Bechcyc-Rudnicka

NA Krakowskim, przed sklepem plastyków, niemal zolegowisko. Ki diabeł! W lewej witrynie rozgościła się trójka czartów, osaczając męża w czarnej todze z białą kryzą i w birecie noszącego się godnie. Przy nim — błaznek pokraczny oraz wieśniak odziany z cudzoziemska.

Cała ta kompanijka przywędrowała za szybę lubelskiego „Art'u” tymczasowo, z ulicy Klonowicza, gdzie, jak wia domo, od lat mieści się w zabytkowym gmachu poddominikańskim Teatr Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena.

Szczęśliwy to pomysł taka wystawa dla przechodniów, popularyzująca teatr, który już za dyr. Stanisława Ochmańskiego stał się istną szkołą dobrego smaku. Obecni gospodarze tej sceny: dyrektor Mieczysław Ciesielski i Włodzimierz Felenczak, kierownik artystyczny, pieczołowicie pielęgnują jej piękne tradycje, wzbogacając je nowymi osiągnięciami. I właśnie do ich najbardziej wybitnych inicjatyw należy niewątpliwie zaprezentowanie „wielkiej tragedii w 4 aktach pod tytułem JOHANNES DOKTOR FAUST”.

Dość dawno temu, w Teatrze im. J. Osterwy ktoś rzucił myśl wystawienia pierwszej wersji arcydzieła Goethego, tzw. „Ur-Fausta”. Nie pamiętam, dlaczego realizacja nie mogła dojść do skutku, ale faktem pozostaje, że tytuł „Faust” ukazał się obecnie po raz pierwszy po wojnie na afiszach lubelskich za sprawą teatru lalek.

Tyle że bez nazwiska Goethego. Albowiem spektakl PTLiA, opracowany przez Włodzimierza Felenczaka, wywodzi się z czeskiej ludowej lalkarskiej wersji legendy o doktorze Johanie Fauscie, wędrownym czarodzieju i astrologu. Komentarz programu teatralnego przytacza w głównych rysach ową legendę, dodam więc tylko parę szczegółów pochodzących z innego źródła.

Otóż według pewnych, bardzo starych podań, prototyp bohatera omawianej legendy, urodzony ok. r. 1480 w Wirtembergu, nazywający się Georgiem, studiował początkowo teologię, przeczucił się na medycynę i magię i był kolejno usuwany z uniwersytetów w Heidelbergu, Erfurcie, Wittenberdze, Ingolstadtzie... Prawdopodobnie za niedozwolone praktyki czarnoksiężskie. Pierwszy ludowy druk legendy, wykonany w 1587 r. we Frankfurcie przez Johana Spiessa, poprawił reputację doktora Fausta, co spowodowane zostało może luteranскими zasadami autora tego życiorysu legendarnej postaci.

W ogóle zaś „fata” opowieści o dziejach doktora Fausta są osobliwe. Zrodzona na ziemiach niemieckich, przedostaje się w postaci wyżej wymienionego Spiessowego druku (zwanego też „Volksbuch vom Dr Faust”) — do Anglii, gdzie ją wykorzystuje do swego sławnego dramatu z r. 1589 Marlowe, a tragedia jego, z kolei zanieśiona do Niemiec, krąży tu dziesiątki lat w zwulgaryzowanej, uproszczonej formie. W drugiej połowie XVII w. historią doktora Fausta zajęli się lalkarze i wiemy, że Goethemu poddała temat jego wielkiego dzieła jedna z wersji lalkowych tragedii Marlowe'a.

Goethe wznosił tragiczne dzieje legendarnego bohatera, wiecznie młode-

go niespokojnym duchem, na wyżyny myśli nie dla wszystkich osiągalne aż do szczytu, natomiast pierwotne podania ludowe oczywiście urzekają i dzieci, i dorosłych swą poetycką fantastyką. Tak się też ma rzecz z przedstawieniem w Teatrze Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena straszliwej komedii z diabłem a jeszcze straszliwszym wtrąceniem do piekła biednego Fausta przy strasznym fajerwerku i pełnym grozy gromobicju.

Włodzimierz Felenczak oparł swą inscenizację, jak się rzekło, na czeskiej wersji lalkarskiej (w przekładzie Jad-

się nagle piekielna kakofonia (całkiem nowoczesna). Gdy nieco ucichnie, ogniście purpurowa, frymuśna, zmarszczona „festonowato” kurtyнка idzie w górę, odsłaniając pracownię uczonego, z mnóstwem foliów (malowane atrapy) i wnet rozpocznie się „bój o duszę ludzką”.

Skoro zahaczyłam o scenografię już na wstępie z powodu lalek w oknie „Art'u”, dopowiem chyba teraz nie zwlekając, że jest ona oczywiście podstawowym walorem artystycznym omawianego spektaklu. Przygotowali ją, według projektów Jerzego Michalaka,



„Johannes Doktor Faust” w inscenizacji Włodzimierza Felenczaka

wigi Bułakowskiej i Krystyny Wnukowej), ale sięgał poza tym bezpośrednio do tradycyjnych motywów ludowych. Zresztą dopisał swój Prolog, udatnie wprowadzający widownię in medias res „problemową”.

A więc, zanim dojdzie do rozlicznego diabelstwa, wychodzi na proscenium Pryncypał, wytworny po starożytnemu dżentelmen, w brązowym fraku i cylindrze, by oznajmić wszystkim w teatrum przytomnym, iż będzie się tu toczył „prawie tak, jak na całym bezmiarze świata, bój ustawiczny i przetrwały między światłem czyli dobrem, prawdą i miłością czystą ... a między ciemnością, pychą i kłamstwem i brudną zawiścią”.

No i jesteśmy już „w domu” co do intencji inscenizatora. Dobro i zło, pojęcia nieraz względne przy drobniawym roztrząsaniu teoretycznym, zostaną pokazane małym i dużym działkiem za pomocą scenicznego działania się wiodącego niezawodnie do elementarnych, spektakularnych skutków zła, przy czym kłęby dymu i obfite gromobicie okażą się wielce pomocnym argumentem.

Zaledwie zdążył się wycofać rozumny Pryncypał-demaskator, a rozlega

Regina Daniel, Apolonia Siroń, Barbara Jarosławska, Longina Szabala, Marian Mika, Kazimierz Klimek. Niechaj nie dziwi czytelnika mnogość nazwisk, mnóstwo przecież było roboty przy lalkowej „obsadzie”. Wprawdzie zjawy, wszelkie insygnia i atrybuty nieba i piekła, zrobiono łatwiejszą fakturą, „na płasko” (w odróżnieniu od „zmaterializowanych” diabłów), ale ileż tego było! Głowy lalek kunsztownie wyrzeźbił „klasycznym sposobem” z drzewa lipowego Roman Kahlan. Cześć mu i chwala za nie. Diabły od stóp do głów są udziałane, rzekłbyś, z japońską precyzją, a drzewo na nie zużyte nabrało naturalnej brunatnej czarności niczym bele dębowe, co przeleżały dwa i pół tysiąca lat pod wodą biskupińskiej osady bagiennej. (Tu okazja do pochwalenia się, że taki kawałek drewna, ofiarowany mi przez prof. Józefa Kostrzewskiego, przekazałam przed laty Okręgowemu Muzeum w Lublinie).

Pejzaże sceny „Na pustkowiu” oraz tła „Ogrodu króla portugalskiego” wykonano w stylu malarstwa XIX-wiecznego.

Na wielkie uznanie zasłużyli aktorzy-animatoryzy: Fred Kosmala, Andrzej

Józwicki, Janusz Fifowski, Roman Wrzós. Grali oni, ukryci przed okiem widza, pospołu (tak że trudno byłoby laikowi ustalić „kto, kogo i co”) nie tylko postacie: Doktora Fausta, jego sługi Wagnera, błaznowatego Kasparka, diabłów Romila i Pika, arcyczarta Mefista, Króla portugalskiego, Królowę, chłopków wezwanych na wartowanie przy Fauscie (gdy go mają brać diabli). Manipulowali „widmami” Dawida i Goliata, morskimi potworami, straszidłami i wszelkim drobiazgiem rekwizytorskim.

A podwójne bravo należy się im z tytułu „utrudnienia”, bo tym razem zastosowano technikę ruchu wymagającą od animatora wręcz wirtozerii — technikę teatru marionetek, w której celował słynny Teatro dei Piccoli. Wydaje mi się, że w tym zakresie sukces PTLiA jest na razie połowiczny. Najwięcej ekspresji i dokładności ruchowej miał Johannes Doktor Faust i Kasperek. Przy innych postaciach chwilami sznurki były zbyt widoczne — mogła to być zamierzona ostentacja dla pokrycia niedostatku biegłości manipulacyjnej? Tak czy inaczej, cieszę się z ambitnego przedsięwzięcia i apeluję o dalsze doskonalenie się w technice marionetkowej.

Ladnie też wypadło i rozsądnie ukazanie się aktorów — animatorów z marionetkami w samym Epilogu. Jestem zdecydowanie przeciw wyrugowaniu lalki przez animatora.

Wracając jeszcze na chwilę do sprawy zrealizowania u nas wersji czeskiej, trzeba stwierdzić, że zaleca się ona zwłaszcza scenami komicznymi, związanymi przeważnie z postacią Kasparka. Zabawne też są sceny „wartowaczki”, która — zaznaczył to dr H. Jurkowski — nie istnieje w innych tekstach (jak nie istnieje w nich i scena malowania krucyfiksów przez Mefista).

Mieczysław Mazurek właściwie wykorzystał do tła muzycznego spektaklu różne elementy muzyki konkretnej i inne współczesne mocne chwytły kompozytorskie.

M. Ciesielski i W. Felenczak zasadniczo dbają przede wszystkim o to, by Teatr Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena zaspokajał systematycznie potrzeby widowni dziecięcej. Dobrze się jednak dzieje i wówczas, gdy biorąc pod uwagę niedopieczony estetyczny dorosłego widza w Lublinie, stosują na swej scenie, w rozsądnej proporcji, eksperymenty dla dorosłych, zarówno awangardowe, jak i w stylu retro.

Nie zapominajmy o sukcesach marionetek paryskich, które długo rywalizowały z wielkim teatrem, wystawiając te same sztuki, nie zapominajmy o oibryzmie powrocie w Hiszpanii inscenizowanych przez marionetki czynów rycerskich Rolanda i Karola Wielkiego, o Nibelungach na scenkach marionetkowych w Niemczech itd., itd. Na przełomie XIX w. pomysłowi artyści we Francji używali teatru marionetkowego do wystawiania mało popularnych arcydzieł dramatycznych. A może by tak zastosować nieco odmienną próbę: wystawiania na miniaturowej, niekosztownej scenie lalkowej niechodliwych polskich sztuk współczesnych?

OGNISKO

W NIEDZIELE 23 maja br., w gościnnej sali teatru im. J. Osterwy odbędzie się koncert — popis uczniów Społecznego Ogniska Baletowego istniejącego przy Towarzystwie Muzycznym im. H. Wieniawskiego w Lublinie. Nie byłoby nic niezwykłego w tym fakcie, bo Ognisko swe osiągnięcia prezentuje na popisach co dwa lata, ale ten koncert będzie jubileuszowy, a więc wyjątkowy.

Ognisko Baletowe zostało zorganizowane, prowadzone i mogło się rozwijać dzięki troskliwej opiece Wojewódzkiego Domu Kultury, mającego swą siedzibę na Zamku. Tam właśnie w 1956 roku pierwsza grupa dzieci pod fachowym okiem profesorów: Marii Grodzkiej, Zbigniewa Kwiatkow-

skiego i przy akompaniamentie Tadeusza Bartkowskiego uczyła się rytmiki, poznawała tańce ludowe i klasyczne.

Mijały lata. Ognisko dzięki wysokim kwalifikacjom nauczycieli i bardzo serdecznej atmosferze, zyskiwało wielką popularność w Lublinie. I tak niepostrzeżenie minęło dwadzieścia lat. Ognisko opuściło w tym czasie ponad trzysta absolwentek, a obecnie dwieście pięćdziesiąt dzieci w wieku od lat sześciu do osiemnastu, dwa razy w tygodniu przychodzi na lekcje rytmiki i tańca do Miejskiego Domu Kultury przy ul. Pstrowskiego, gdzie ma swoją siedzibę Społeczne Ognisko Baletowe.

Zmieniają się grupy dzieci, ale nie zmienia niezwykle klimat, jaki panuje w Ognisku, gdzie jest zawsze dużo serdeczności, niemal rodzinnego ciepła, gdzie dzieci z różnych dzielnic Lublina i różnych szkół zawierają serdeczne przyjaźnie, które nie kończą się w momencie skończenia nauki.

I są nauczyciele, którym mówi się o klasówce, o egzaminie, a potem po latach zaprasza się na ślub...



Uczennice

Pierwsze absolwentki wezmą udział w popisie, a potem spotkają się ze swymi młodszymi koleżankami i z nauczycielkami, którzy już lat dwadzieścia uczą rzeczy cennych i potrzebnych: kultury i wdzięku, bez których żyć można, ale trudno.

E. D.

WOKÓŁ „PRZEBUDZENIA”

Gdzie ten mężczyzna?

DO grona bacznych obserwatorów życia literackiego Lublina opatrzących swoje wywody podpisami „007” czy „Bartek” („Sztandar Ludu”) dołączył ostatnio p. Bernard Nowak („Kamena” nr 8/77). Najwłaściwszym określeniem dla tekstu p. Nowaka jest termin „felieton”, bowiem nie rozmiar lecz sposób podejścia do tematu decyduje o gatunkowym zaszerogowaniu wypowiedzi. Jednakowy jest również cel, jaki przyświeca wszystkim trzem felietonistom. I dlatego właśnie zdecydowałem się odpowiedzieć, mimo że felieton p. Nowaka sam w sobie nie zasługuje na dyskusję.

Postscriptum umieszczone pod tekstem nie posiada osobnego podpisu. Zatem, zgodnie z przyjętym zwyczajem, będę je traktował jako część wypowiedzi autora. Treść owego postscriptum zdaje się jednak wyrażać stanowisko redakcji. Czyżby pojawiło się w niej nowe nazwisko?

Felieton p. Nowaka poświęcony jest antologii młodej poezji lubelskiej „Przebudzenie”. Autor zaczyna od podstawowych znanych eryście chwytów: preparuje jedno z twierdzeń wstępu do książki tak, by stworzyć sobie wygodny obiekt ataku, po czym kruszy kopie o rzecz nie mającą z „Przebudzeniem” żadnego związku. Następnie prezentuje się czytelnikowi jako tzw. „wzrokowiec”, który zapoznał się głównie z graficzną postacią zawartych w książce utworów. Owa postać graficzna budzi zdecydowany sprzeciw p. Nowa-

ka: pieśni są „kilkowersowe”, sonety „ubogie”, a reszta wierszy to „chude robaczki z poustawianych w słupki słów”. Tak mało ekspansywne graficznie utwory nie mogą wg p. Nowaka czerpać z „niezmierzonego skarbcza poetyckiego świata” tudzież „nieprzebranych bogactw rzeczywistości”.

Kolejny fragment przynosi twierdzenia z zakresu psychologii twórczej — jest opisem artystycznego bólu autora przerażonego koniecznością pisania, opisem dokonanym tak sugestywnie, że nietrudno dociec iż p. Nowak zna problem z autopsji.

Nieudany mariaż z literaturą nie usprawiedliwia jednak zenująco błędnego użycia słów „alternatywa” i „geneza” — znajomość ich właściwego znaczenia mogłaby się autorowi przydać w rozważaniach np. o sztuce. Podobnie mój adwersarz, który błyska nazwiskami Amiela, Stirnera, Gombrowicza, Marcela nieortograficznie pisze słowo „Champfleury”.

Trzeba dużej odwagi, żeby w tej sytuacji pouczyć o „błędach leksykalnych” czy „pomyłkach z zakresu sztuki poetyckiej”. Pomyłką taką ma (wg p. Nowaka konsekwentnie oglądającego książkę) stanowić podjęta przez jednego z autorów próba „podkreślenia wagi wypowiedzi” na temat wojny czy śmierci „przez jej graficzne wyróżnienie”. O którego z autorów chodzi — tego jednak odważny i szczery felietonista nie podaje. Nie przytacza również metafor, które chciałby oświe-

żyć, zadowolając się wskazaniem strony, na której czytelnik pośród 40 wersów może odszukać ten, który akurat da się dopasować do zamiarów felietonisty. Jeśli nawet coś zacytuje — skrzętnie ukrywa nazwisko autora, z którego utworów cytaty zostały wyjęte. Czy takimi praktykami próbuje p. Nowak dowieść swej tezy, że „faza intelektualna” i mówienie „wprost” wykluczają się? Jeśli tak, to czyni to tylko w jedną stronę: tam, gdzie nie ma mówienia wprost, trudno również o „fazę intelektualną”.

O cenionej przez felietonistę poezji Henryka Kozaka dowiadujemy się, że jest „bezpretensjonalna”, a jej autor posiada „słuch poetycki” oraz „stoi najbardziej na własnych nogach”. Podobną głębię interpretacji prezentuje akapit poświęcony Dominikowi Opolskiemu. Przecież p. Nowak zdaje sobie sprawę (patrz: „postscriptum”), że w ten sposób nie przysłuży się autorom nie ceniącym „letnich pochwał, pod którymi kryje się dobrodusze lekceważenie”.

Skoro jestem przy owym dziwnym „postscriptum”, w którym p. Nowak przemawia jak Redaktor, kilka uwag dla Niego, a także jego przyjaciół po piórze. Podtrzymuję twierdzenie, że w Lublinie istnieje jeden z najciekawszych w kraju ośrodków młodej poezji. Lubelscy autorzy wydali w 1976 r. cztery tomy indywidualne i obszerną książkę zbiorową. Nie udało się tego osiągnąć żadnemu z pozostałych

ośrodków. Jan Witan pisze wprost we wstępie do arkusza Z. W. Fronczka: „Lublin i Gdańsk stały się ostatnio najciekawszymi ośrodkami najmłodszej poezji”. Jerzy Stankiewicz w artykule z cyklu „Piśmiennictwo 76” („Literatura” nr 9/77) zwraca uwagę na trzy właśnie ośrodki debiutów: Gdańsk, Lublin, Kraków, a o przedmiocie felietonu p. Nowaka pisze: „Najbardziej znaczącą pozycją spośród antologii środowiskowych (...) jest bez wątpienia lubelska antologia „Przebudzenie”. Podobne zdanie o książce ma recenzent „Trybuny Ludu”. Nie ma zatem potrzeby oczekiwanie na „zaproszenie do kompanii”, bowiem powyższe — jeśli tak rzecz ujmować — już się dokonało. Fróby panów „007”, „Bartka” i B. Nowaka-Redaktora świadczą co najmniej (żeby do sprawy nie „wciągać etyki”) o braku rozeznanienia w młodej literaturze polskiej. Niepokojące, że zdarza się to właśnie lubelskim ziomom. I nie samozadowolenie, lecz zaniepokojenie właśnie skłoniło mnie do nagannej wg p. Nowaka konstatacji.

Ponad połowa mojej recenzji z „Przebudzenia” („Kamena” nr 7/77) poświęcona była krytyce widocznego w wielu utworach nastawienia „metapoetyckiego”, introwersyjnego a także polemice z twierdzeniami „Wstępu”. Wołania rozmówanego w dialektyce p. Nowaka — Redaktora o jak najwięcej nietaktów niestety nie mogłem spełnić. Inne mam wyobrażenie o sposobie dyskusji i krytyce, zwłaszcza — literackiej. P. Nowak natomiast wybrał rzeczywiście ton nietaktowny, ale w ten sposób wylał dziecko z kąpielą: na „syntezę” będzie musiał poczekać, bowiem brak jeszcze „antytezy”.

Bogusław Wróblewski
Lublin

Nie dyskutuję z gustem

KSIĄŻKA posiada tytuł „Przebudzenie”. Zawarte w niej teksty zostały wybrane i opatrzone wstępem przede mną. Nie mnie wobec tego polemizować w sprawie oceny całości czy też fragmentów. Swoje gust wyjawilem dwukrotnie, przez wybór konkretnych autorów i ich utworów (w ramach określonych umową wydawniczą), drugi raz we wstępie.

Jeśli zabieram głos, to dlatego, aby wyjaśnić kilka nieporozumień i usytuować owe w sytuacji naszego, regionalnego życia literackiego.

W „Kamieniu” „Przebudzenie” odnotowane zostało, do tej pory, dwukrotnie: w numerach 7 (piórem Bogusława Wróblewskiego) i 8 (w artykule „Przebudzenie, czyli brzydka kobieta”, sygnowanym: Bernard Nowak). Wróblewski ocenił książkę dodatnio i jednocześnie podniósł najpoważniejsze dotychczas zastrzeżenie, że zbyt wiele w książce wierszy „metapoetyckich”. Zarzut został udowodniony licznymi cytatai. Jeśli można nie zgodzić się z nim całkowicie to dla przeświadczenia, że czytelnik ma prawo porównać twórczość stricte poetycką z ambicjami programowymi autora, w tym wypadku wyrażonymi również wierszami.

Bernard Nowak zarzucił Wróblewskiemu „koteryjność”, zapominając, iż ten ostatni jest również poetą, z lubel-

skiego środowiska, młodym, i nie miał w „Przebudzeniu” własnych utworów. Zapomnienie przekracza granice uczciwości recenzenckiej.

Trudno mi mieć pretensje do Bernarda Nowaka, w końcu jest to („Przebudzenie, czyli...”) jedyny, drukowany dotychczas tekst krytyczny podpisany tym nazwiskiem. Zajmijmy się zatem patronatem ideowym, pod którym powstał. Red. I. J. Kamiński („Kamena” nr 8/1977 s. 9) pyta: „— A jak wytłumaczyć ten apokaliptyczny w twórczości młodo — literackiej, autoryzowanej przez widoczną grupę wstępujących poetów i prozaików?” I dalej: „— Najciekawsze — etycznie — przy tym, że ci sami ludzie nie gardzą, o nie gardzą wcale, wsparciem materialnym ze strony oficjalnych instytucji i politycznych organizacji, które na co dzień ob smarują...” Wypowiedź jest bliska pomówienia, jeżeli jej autor nie wyjaśni publicznie, jaką to grupę miał na myśli. Znajomość zaś młodej literatury Kamiński prezentuje równą ortografią słowa młodoliterackiej w tejże wersji.

Metoda kontynuowana jest w artykule „Przebudzenie, czyli brzydka kobieta”. Nowak pisze: „Stanisław Jan Królik, autor wyboru, wstępu i opracowania lubelskiej antologii poetyckiej pt. „Przebudzenie” za patronów lubelskiej poezji uważa przede wszystkim Bursę i Wojaczka”. Niżej podpisany pisał (podkreślam w tej chwili): „Znaczna większość prezentowanych w zbio-

rze utworów charakteryzuje związek z tym, co piszą również w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie (ściślej: ci, którzy są dla młodej poezji najbardziej reprezentatywni). Nie tylko ze względu na przywołanie tych samych wzorców osobowych (Baudelaire, Rimbaud, Bursę, Wojaczka), lecz z uwagi na podobne problemy, te, które absorbują młodych na terenie całego kraju, rozwiązywane niekoniecznie w podobny sposób, mimo licznych związków, czasami cytatów”. Jeszcze raz wymienię nazwisko Bursy w odniesieniu do Kawałki. Albo recenzent posiada pozazmysłowe kontakty z moją podświadomością, albo ma kłopot ze zrozumieniem krótkiego akapitu, albo wypacza go specjalnie dla wdzięcznego przeprowadzenia zaprogramowanego wywodu. Nie rozumiem jedynie, po co — podobnie jak red. Kamiński — przywołuje etykę: „Krystalizacja postawy intelektualnej i etycznej jest przecież procesem na wskroś subiektywnym i wykracza daleko poza obszary literatury”. Wątpię, czy etyka to rzecz aż na tyle subiektywna, że może być np. wspólna etyka panów Kamińskiego i Nowaka, tylko ich obowiązująca.

Jeżeli tak, to nie dziwię się również wspólnocie ortograficznej. I tak Nowak podaje: „Champfleury”, cytując ze strony, na której jest: „Champfleury”, zgodnie z duchem języka nie dla wszystkich obcego. Dalej Nowak podaje „stulistny kwiat wrażliwości (s. 86)”, gdy na tej stronie jest: „stulistny kwiat wrażliwości”. Podobno na stronach 122—129 są „chusty Weroniki”, gdy w

rzeczywistości jest „Chustka Weroniki”. Itd.

Zaznaczyłem już, nie mam zamiaru dyskutować z gustem, obojętnie jakim. Odpowiada mi natomiast zdanie Nowaka: „Potoczne przekonanie o łatwości literatury powoduje, że dziś każdy coś tam pisze”. To prawda, ważna dla wszystkich. Nie wystarczy wymienić: Amiel, Stirner, Eckhart, Gombrowicz, Marcel. Nazwiska te można przecież wypisać z encyklopedii, w tej zaś nie będzie ani słowa o młodej literaturze, ona bowiem staje się na naszych oczach.

Sumując: 1. Sprawa to skomplikowana, jednak według mnie (a chyba nie tylko) młoda literatura nie jest „apokaliptyczna”, jak to widzi red. Kamiński, który w swoje specyficzne okulary ubrał B. Nowaka.

2. Artykuł „Przebudzenie, czyli brzydka kobieta” tak dokładnie koresponduje z myśleniem red. Kamińskiego, że można tylko się dziwić, iż znalazło się dwóch niemal identycznych ludzi.

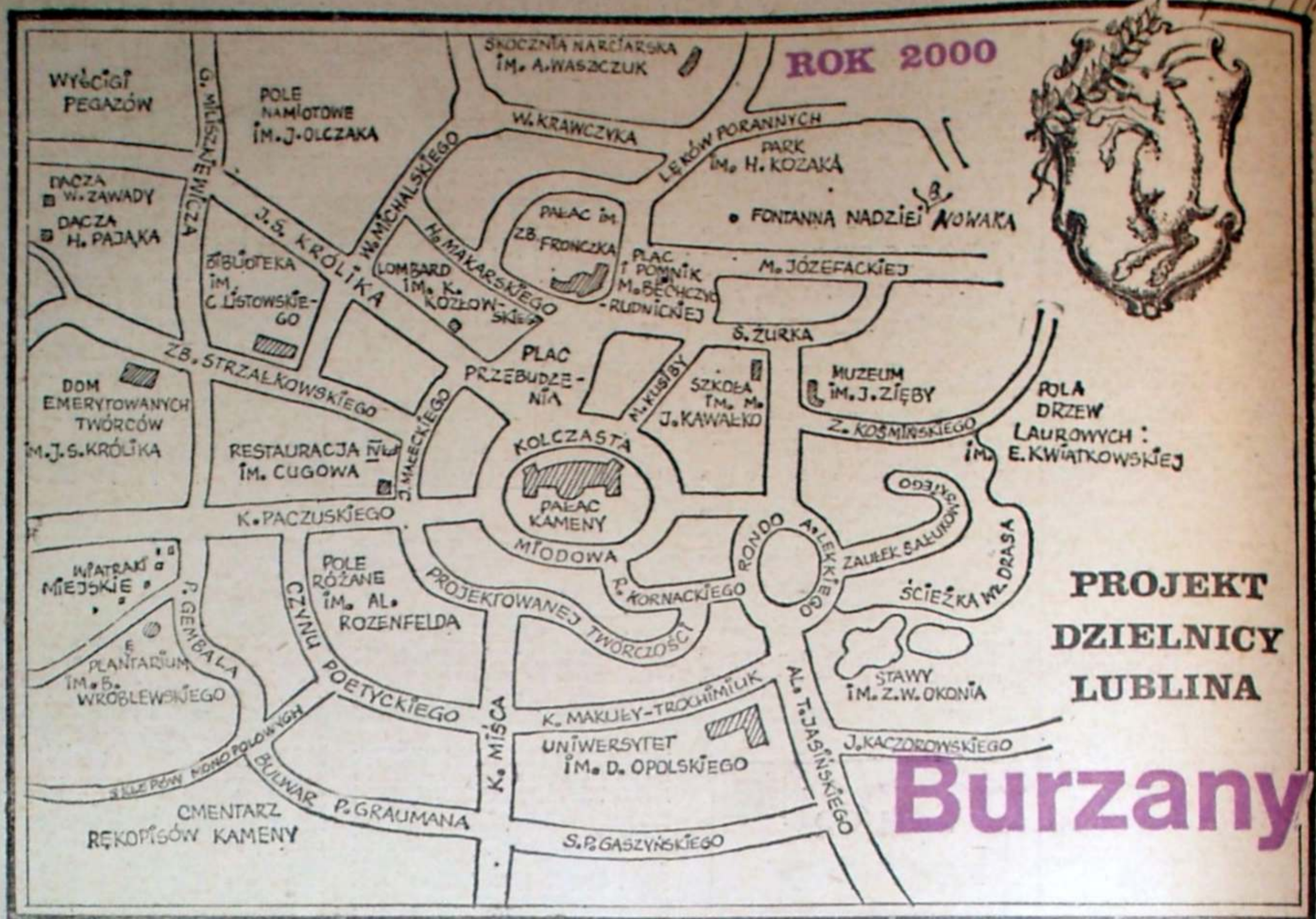
3. Aferka napęliła mnie smutkiem. Jaki bowiem wytłumaczył Redakcji że istnieje w Lublinie środowisko, jeżeli też redakcja (jedynego na miejscu pisma społeczno — kulturalnego) skwapliwie stara się udowodnić coś zgoła przeciwnego po czterdziestolecie swojego istnienia? Ze środowisko istnieje mimo? W takim wypadku protestuję w imieniu przeszłości Pisma.

4. Jeżeli chodzi jedynie o zaściankową zawiść, to też — tylko smutne.

Stanisław Jan Królik
Lublin

P. S. Uprzejmie proszę o zachowanie ortografii i stylu tej wypowiedzi, której kopię zachowuję. W rewanżu nie będę się narzucał ze swoimi próbami publicystycznymi. Z góry dziękuję.

St. J. K.



Jerzy Leszczyński

FRASZKI

O BŁĄDZENIU

Błądzi się tylko pierwszy raz —
Potem złą drogę już się zna.

RĄBANIE PRAWDY

Można wyrębać ją tak bezboleśnie,
że potem nigdy już nie wyrośnie.

KOBIETY I MODA

Chodzą już prawie bez ubrania —
A każda modę się zastania.

BUJDA

Bujda na resorach jest przyjemniejsza
jednak niż bez...

PRAGMATYKA

Podatoladny wtedy ma rację, gdy
wie, że szef ma wtedy rację dwie.

PROZAICZNE UWAGI

Na jednych odpowiedzialność spoczywa,
na innych tylko się męczy.
Gdy pomysł do pustej głowy
wpadnie, to może się tylko poobi-
jać.

Józef Częciak

MYŚLI

Kto narzeka na swoich przyjaciół,
wprzód powinien uczynić to na własny
rachunek.

Słodsza jest znajomość gorzkiej
prawdy od słodkiej niewiedzy.

Podziwiałe altruizm satyryka!
Wciąż pamięta o innych, rzadko o
sobie.

Panteon dzieli się na zantropomorfizowanych
bogów i ubóstwio-

nym ludzi. Wolę tych pierwszych,
przynajmniej nie istnieją.

Człowiek wszystko może! Ostrze-
żenie to czy duma?

Gdyby Cezar wiedział, że zostanie
zabity przez przyjaciela, zapobiegłby
zbrodni: zamordowałby Brutusa.
Gdyby Abel...

Leczmy śmiechem, lecz nie zab-
fajmy uśmiezkami.

HOROSKOPY

BARAN 21 III—13 IV

Sytuacja, w której się znajdziesz
będzie wymagała spokoju i
taktyki. Niepotrzebnie wpatuj się
w tę historię, ale dobrze, że swój
błąd spostrzegłeś wcześniej. Nie-
kiedy na swoim miejscu udawa-
liby — jak zwykle się mówi —
głupiego. Ty tego nie potrafisz,
nawet ci zresztą nie wypadła. Co
więcej? Przede wszystkim
myślenie. I nie daj się przechy-
tyć innym.

BYK 13 IV—20 V

Nareszcie czujesz, że żyjesz. Na
stanowisko wszystkie skończyło się
pomyślnie, możesz podjąć, ale
dobre były straty. Wzrost może
zostanie sprowadzić się pewnej
propozycji, która powinna przynieść
sporo zmian. Wyjazd? Awant!
Podwyżka? Gwiazdy patrzy na
ciebie zyskują. Ty jednak mniej
apogładaj w gwiazdy, a więcej na
ziemię. Niekoniecznie przez duże
"Z".

BLIŹNIĘTA 21 V—20 VI

Można to nazwać młodowym
mniemaniem, albo nawet młodowym
kwiatkiem. Nie rozpraszaj się i
nie denerwuj innych swoim postę-
powaniem, a przede wszystkim
uwaga na słowa. Zgody masz dobre,

niekiedy dobrze ugrzyść się w je-
zyk zanim coś się powie. Teraz
juz całkiem dobrze, a jutro w
dobrej mierze od ciebie przeczaj
zalety.

RAK 21 VI—22 VII

Masz rzeczywiście kłopot i ur-
lopem. Za wiele innym naobse-
cywałeś, trudno wybrnąć z sy-
tuacji. Niestety, musisz brnąć da-
lej. Umiesz bój, fakt, ale za-
czynasz się już powtarzać. Czy nie
siad cię na nowe pomysły?

LEW 22 VII—22 VIII

Nareszcie wypociałeś, choć i
alkoholem — sam to przyznajesz
— rodzinie bywało. Teraz musisz
naprawdę wziąć się rzetelnie do
pracy. Czas nie stoi w miejscu,
inni bacznie cię obserwują, a są
ludzie, którzy chcą wam wam

się na twój etap. Czy ty tego nie
doszczęgasz?

PANNA 22 VIII—22 IX

Nie masz powodów do wra-
żenia i niepokojów. Wprawdzie
mają nie zacząć się najpomyślniej,
ale wina leży i po twojej stronie.
Nigdy nie byłeś zbyt tolerancyj-
ny, to jeszcze można zrozumieć,
ale skąd u ciebie ta mściwość?
W ten sposób naprawdę czegoś
nie osiągniesz.

WAGA 22 IX—22 X

Upały i na ciebie nie wpływa-
ją najlepiej. Teraz dobrze by ci
zrobił wyjazd, najlepiej jednak w
samotności. Za mało rozmawiasz
z własnym „ja”. I chyba dlatego
działasz zbyt szybko, bez taktu
nowienia. Lata leżą, a tobie się
zdaje, że ciągle możesz występa-
wać w roli rozkapryśnionego
dzianista. Człowieku, opamiętaj się!

SKORPION 22 X—22 XI

Dobrze, że dopływa ci humor,
choć w gruncie rzeczy nie masz
się znowu i czego chcesz. Cze-
kają cię pewne nieprzyjemności,
z których jeszcze nie zdajesz
sobie sprawy. Oczywiście prze-
trwasz się nastrojów może być dość
nerwowy. Pamiętaj, że co jak co,
ale nerwy powinieneś szanować
przede wszystkim.

STRZELEC 22 XI—22 XII

Wiele ci się w życiu udawało,
choć często byłeś już w poważ-
nych tarapatkach. Zastanów się
jednak, czy twoje ostatnie spęty-
ty nie sągają zbyt daleko! Każdy
chce coś mieć, ale większość spo-
ród oczekujących cię ludzi li-
czy się z możliwościami. Szczegół-
nie mówiac, jeśli ci czegoś teraz
szczególnie potrzeba, to podnie-
sienia kwalifikacji zawodowych.

Ale kiedy ty miałeś ostatni raz
w rękę książkę?

KOZIORÓŻEC 22 XII—20 I

Najlepiej byłoby postawić spr-
wę jasno i bez niedomówień, o-
statecznie racje są po twojej
stronie. Druga połowa ma zapo-
wiada się dla ciebie dość atrak-
cyjne. Uwaga! Jednak, aby ino-
wu czegoś nie sknocić, wiadomo
że deszczowe chmury są już po-
za tobą.

WODNIK 21 I—13 II

W dalszym ciągu nie umiesz
docenić prawdziwych przyjaciół.
Oczywiście nie ma to większego
wpływu na twoje codzienne życie,
bo zwykle sobie radzisz sam, ale
twoje postępowanie sprawia
mnogo wiele przykrości. Teraz za-
mierzowałeś się znowu kłóć, nie
na to zainteresowanie wcale się
zasługują.

KWIEŚ 13 II—20 III

Kiedyś kiedyś pisał wiersze i
kiedyś traktował to — so, prawie
kiedy — jak powołanie. Potem o-
kazywałeś się, że zwyciężała
nieśmiałość życia. Jesteś więc
nieśmiały, który spod znaku „Rys-
” próbują tworzyć — młoch wy-
kula niemo dystansu wobec
twórczości. Dla własnego dobra.

Stella